Nr. 38. Warszawa, dnia 9 (22) Września 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NA MOGILE.

Czyjej? Boerów. Już ich niema. Nie byli narodem, byli tylko narodowością; wraz z upadkiem ich państw, zburzonych przez Anglików, rozpoczyna się rozkład ich narodowości, a to samo złoto i dyamenty, które im upaństwowienie się i rozrost społeczny ułatwiły — teraz przyspieszą im śmierć. Cywilizacya angielska rozpuści ich w sobie, gdy wyrzeczenie się życia politycznego odbierze im własne dziejowe poczucie, dziejową indywidualność. W pokoleniu, które walczyło, będą jeszcze drgnienia, zmuszające Anglię do obsadzenia kraju wojskiem, ale pokolenie, które przyglądało się tylko walce — nie zdobędzie się już na nic więcej, prócz poczucia etnograficznej odrębności od Anglików. Melancholijna mgła Pól Elizejskich, żadnym rozumem nieprzebita, na wszelki stoicyzm oporna, ogarnia tę piękną przeszłość początkowych dni i całych miesięcy walki przez zimę aż do nieszczęścia Cronjego w d. 27 lutego r. b. Na nic się nie przydały i dzielność i męztwo i same nawet zwycięztwa: ostatecznie zwyciężyła liczba. Nie poruszył się Bóg, który w manifeście wojennym miał nosić kule: niosła je siła fizyczna i fizyczna też siła powaliła wierzących: nie podniesie ich już Bóg.

Mieli go w sobie pod postacią wiary w ostateczne ocalenie się, w wywalczenie sobie lub wyjednanie walką dalszego istnienia. Utracili tę wiarę pod Paardebergiem. Wzięcie Cronjego przez Anglików, a niezdobycie Kimberleyu i Ladysmithu przed nadciągnięciem absolutnie już wystarczającej odsieczy, przecięły z początkiem wiosny całą wojnę na dwie połowy: pierwszą, z twórczym zapałem, dla wypędzenia Anglików, drugą, z nabytym rozpędem, dla zyskania na czasie. Zysk ten, od dyplomacyi spodziewany, dyplomacya udaremniła. Romantyczna wspólność, pokrewność, jedność zasadnicza rzeczypospolitych i wrzekomej ich duszy, republikanizmu i demokracyi, okazała się, nie ideą żywą, ale szczątkowym zabytkiem dziejów: wie o niej coś historya, nie wie, nie chce nic wiedzieć życie. Rzeczpospolita znaczy dziś zupełnie co innego, niż w końcu XVIII i środku jeszcze XIX w. Druga połowa stulecia pogrzebała sny pierwszej — a pogrzebała bez żalu. Dziś mamy rzeczypospolite bez republikanizmu i bez demokracyi. Państwo, takie, czy inne, chce być przedewszystkiem mocarstwem i nietylko zewnętrzne, ale i wewnętrzne stosunki swoje według tego ideału kształtuje.

Naprożno też wyglądali Boerowie Transwalu i Oranii pomocy dyplomatycznej od dwóch wielkich rzeczypospolitych świata: Stanów Zjednoczonych i Francyi. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Płn. zapanowała namiętność mocarstwowa rozpościerania się po za siebie i orężem i intrygą dyplomatyczną: pierwszy powiększa terytoryum, druga daje stanowisko w świecie równemu wśród równych. Minęły czasy, zatarła się pamięć tej przeszłości, kiedy zjawienie się Klapki na ziemi amerykańskiej zjednało mu przyjęcie wyglądające na czyn narodowy; kiedy sam prezydent przestępcę, wychodźcę uciekającego przed śmiercią, nie wahał się przyjąć w Białym Domu; kiedy sami nawet konsulowie amerykańscy nad Bosforem i Propontydą — ściągając na swe państwo gniew potężnej wówczas Austryi, dawali rozbitkom z rewolucyi węgierskiej opiekę ludzkości i politycznego spółczucia. Dziś Stany Zjednoczone potrzebowały Anglii, a nie potrzebowały Transwalu: poszły za Anglią, a Transwal zostawiły własnemu losowi. Francya, od XIV wieku ustawicznie zadzierająca z Anglią, powściągana, nawet upokarzana za dni naszych, mogła wziąć pochop z rdzennej nienawiści do pozornej miłości, i dla samego pokrzyżowania jej polityki zorganizować opór dyplomatyczny przeciwko unicestwieniu obu rzeczypospolitych boerskich. I to przewidywanie zawiodło. Nie drgnął nikt. Nawet zamęt chiński, w którym najpozytywniejszy pogląd, okiem historyka na dzieje bieżące, pozwalał przewidywać tamy dla Anglii — nawet ten zamęt nie wydał z siebie nic, coby mogło być dla nieszczęśliwych choćby chwilowym uśmiechem losu. Niebo mieli nad sobą czarne jak otchłań.

Zawiódł ich nawet ich własny duch: nie dotrwał do końca. Po zajęciu Pretoryi przez Robertsa zaczęli się zobowiązywać do neutralności, składać broń, przysięgać na bezczynność, czyli zerwanie z braćmi i zaprzaństwo polityczne. Przedwczesne

opuszczenie Natalu wydało jakby hasło dla dusz: zgasło w nich geniusz. Po poemacie zimowym nastała wojna podjazdowa, nie prowadzona z dostateczną zdolnością skupiania się na liniach wewnętrznych, a stąd usiana klęskami, których nie równoważyło powodzenie takie, jak np. zabieranie całych oddziałów, transportów, podwód, nawet garnizonów angielskich. Od każdej klęski duch się chwiał, ciało walczące rozpadało. Namysł: po co? wżerał się w zapał, powściągał nabyty rozpęd. Walka jednak trwała i trwa jeszcze dziś, kiedy już nie ma żadnego przed sobą światełka. O tłumnem złożeniu broni nie pomyślał nikt. Ostatnią walkę stoczy garstka najuporczywszych, najgorętszych. Nie zostanie Boerom po klęsce ostatecznej „smutne pół rycerzy żywych"— nie zostanie nic. Owe przysięgi, neutralności i zaprzańśtwa trzeba położyć na karb natury ludzkiej: muszą być zdrowi i chorzy, silni i słabi. Naogół Boerowie, umierając politycznie, dobrze spełnili swój polityczny obowiązek i z dobrem też imieniem przechodzą do historyi. Drakońskie prawa Robertsa same rozgrzeszają tych, których zaskoczyły, że nie spieszą do rozpaczliwej walki; same też uzacniają tych, którzy jeszcze jej nie zaniechali. Szczęśliwy De Vett, że znalazł śmierć pod Potchefstroomem! Szczęścia tego zazdrościć mu powinien Krüger, w Lourenço Marquez wyglądający okrętu holenderskiego, aby się doczekać angielskiego i angielskich kajdan. On, co Transwal założył, mógł w ostatniej bitwie Transwalu lepsze dla siebie znaleźć schronienie.

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 15 września.

Azatem jesteśmy znowu na gościńcu, ale nie na nowym. Jużeśmy tu raz byli. Bo rozwój konstytucyjny Austryi odbywa się, jak owe procesye w Echternach. Trzy kroki naprzód, dwa w tył, znowu trzy naprzód i znów dwa w tył itd. itd. Z Badenim na czele Austrya zrobiła trzy kroki naprzów: wydał on najsprawiedliwsze w świecie rozporządzenie językowe dla Czech. Wtedy studenci wiedeńscy zaczęli robić burdy w sąsiedztwie parlamentu. Strach wielki ogarnął „miarodajne" sfery — zawezwano prędko namiestnika Styryi, Clarego, który stanął na miejscu Badeniego i pchnął znowu Austryę o dwa kroki w tył: zniósł rozporządzenia Badeniego. Na to Czesi w Radzie państwa zaczęli koncertować na piszczałkach: więc parlament odroczono. To znów był jeden krok naprzód. Teraz rozwiązano parlament — to znowu drugi krok naprzód. Pozostaje jeszcze tylko zrobić trzeci krok naprzód, to jest znieść zniesienie rozporządzenia Badeniego. Czy się rząd na to zdecyduje — nie wiemy. Ale tyle wiemy, że bez tego trzeciego kroku naprzód zacznie się znowu koncert czeski. Bo trudno inaczej. Dało im się, co się im należało (język urzędowy w administracyi i sądownictwie) i zabrało się im potem. Któryż naród żywy pozwoli na takie naigrawanie się z siebie? Chwilowo Czesi zwyciężyli. Pokazali, że nie można sobie kpić z nich. Niemcy dostali po nosie. Tem boleśniejsze dla nich są te cięgi, bo Czesi tłuką ich własną ich sztuką. Bo obstrukcya w Radzie państwa jest właściwie wynalazkiem niemieckim. Strasznie swego czasu byli dumni z niego. Ale zapomnieli wziąć patent na ten wynalazek. Więc Czesi wzięli się na ten sam sposób — z równą skutecznością. Jaką rolę w tej całej sprawie odegrało Koło polskie? Było prawdziwem kołem — piątem u wozu. Nie pomagało otwarcie Czechom; nie protestowało przeciw żarłoczności niemieckiej za Clarego. Więc upadł Badeni, przyszedł Clary; poszedł Clary, przyszedł Körber — a Koło zadowolone, że tam zawsze jeden z naszych jest przy tej robocie. Czy ta robota jest w myśl Koła, czy nie, to mniejsza. Było tam jeden z naszych był i było, ile możności, na każdego przyszła kolej. Dlaczego właściwie poszedł Chłędowski i przyszedł Piętak? Że Chłędowski nie był politykiem, tylko powieściopisarzem? Ależ Piętak nawet powieści nie napisał, choć miał teraz tyle wolnego czasu! Cóż robił? Godził stronnictwa austryackie? Nie pogodził ich. Bronił stanowiska Koła? Nie obronił. Gdyby był pozostał Chłędowski, tobyśmy przynajmniej wiedzieli, co robił: napisałby dowcipną powieść albo pamiętnik. Ale za co brał pensyę ministeryalną Piętak? Żeby zapobiedz nowym wyborom: a te właśnie już rozpisano. I cóż z tego wyniknie? A no, procesya Echternachska. Ostatecznie i ta procesya dochodzi do celu swego — więc miejmy nadzieję, że i Austrya dojdzie kiedyś do równouprawnienia narodów.

—ski.

Tydzień polityczny. Ani krok nie postąpiła sprawa układów o pokój z Chinami. Z czterech komisarzy chińskich, tu wymienionych, najpierw odrzucono jednego, Junglu, jako instruktora do mordów, potem drugiego, ks. Czinga, potem i trzeciego jako nienależącego do komisyi: został sam Li-Chung-Czang. Ale i tego pełnomocnictwo uważano za niedostateczne; w końcu wszakże wszyscy zgodzili się na traktowanie z nim. Będzie on w każdym razie najpoważniejszym; Czing (Tsing) odzyska swą godność zaprzeczoną, a jako książę z rodziny panującej przy Czangu odegra rolę kontrolera dworskiego. Cesarz chiński ze swej kryjówki — podobno już teraz na północ od Pekinu, bliżej granicy rosyjskiej — ma czas na uzupełniające nominacye, bo Europa nie prędko się zgodzi na żądania, któreby były wspólnemi. Niemcy żądają złożenia z urzędów wszystkich trzymających z Bokserami, i sprawców mordów i gwałtów, na misyonarzach prowincyi Czyli, pod bokiem mocarstw, i teraz jakoby jeszcze spełnianych. Powinnoby więc to złożenie dotknąć i cesarzową-wdowę, która wydawała instrukcye mordercom. Zabójcę Kettelera Niemcy już stracili: tania, ale i mała przyjemność. Dotychczas wojsko rosyjskie jeszcze stoi w Pekinie; rząd francuski, działając wspólnie, odpiera domysł, jakoby tam pozostać miało. Telegramy donoszą o blizkim wyjeździe p. Giersa.

4)

Marya Grossek.

APOTEOZA.

Umrzyjcie dziś już raz na zawsze Mary!
Po raz ostatni niechaj ten poranek
Waszych form smutnych rozwieje opary,
Jak mgły wznoszące się z łąk i polanek,
Co raz rozwiane, więcej się nie zrosną —
Idźcie na wieki w eteru obszary!
Lub oczy wasze niech snem wiecznym posną,
Gdzie najciemniejsze są w mózgu pieczary —
I nie wskrzeszajcie nigdy więcej z wiosną!

Za jakiś chyba grzech pokutująca,
Młodości moja, ty biedny Upiorze,
Poszukujący przy świetle miesiąca
Zgubionych pereł po mojej komorze —
Po co ci byt ten wyjęty z pod słońca?

Patrz, wszystka w koło młodość już wymarła,
Co się rodziła z tobą w jednej porze! —
Dlaczego tyś się jedna żyć uparła?!

Jakąż się jeszcze nadzieją uwodzisz,
Że resztek bytu broniąc tak zażarcie,
Między żyjących upiorem przychodzisz?
U mych wezgłowi noc stoisz na warcie,
Aż rozszlochana padasz na me łoże,
Aby na piersiach mych znaleźć oparcie. —

Dopóki księżyc przyświeca na dworze,
Czego ode mnie żądasz — mów otwarcie! —
Żyć jeszcze? — we mnie znów! — to być nie może!...

Piersi mej żadnym kluczem nie otworzysz,
Żadnym zaklętym Sezamu wyrazem,
Już młodzieńczego ognia w nią nie włożysz...

Nieprzenikliwym Czas pokrył ją głazem,
Zakuł w zdrzewiały pień nieczułej kory,
Który Śmierć tylko rozetnie żelazem...

Nie urodzimy się znów na świat razem!
Jak się nie zmienią w źdźbła dwulistnej trawy
Te wybujałe pod niebo sokory. —

Minionych rzeczy nie żądaj naprawy —
Tego, co zaszło do dziś dnia z tej pory,
Odrobić nie mógłby Bóg! — to przepadło
Na wieki wieków... Umieraj Widziadło!

Wieczór mam ciepły, gwiaździsty i cichy —
Skwar minął — pachnie w powietrzu ulewa —
Jesień haftuje liść mój w złote szychy —
Macza mi w bursztyn, w krew i w bronzy drzewa. —

Prawda, za oknem słowik już nie śpiewa,
Nie patrzą w szybki powojów kielichy,
Lecz winogrono na ścianach dojrzewa
I miód mi robią pszczoły, skrzętne mnichy. —

W kwieciste misy, w rzeźbione kielichy
Przyjaźń z uśmiechem wieczerz mi nalewa —
Patrzę przez okno na promienne szprychy
Słońca, co gdzieś już drugi świat ogrzewa...

I nie ma we mnie nic już z dawnej pychy!...
Serce się moje o nic już nie gniewa,
Czar uczuć dziecka odnajdując cichy,
O miłosierdziu życia hymn swój śpiewa.

Jest żywszy zachwyt... wiem!... moc wrażeń większa...
Przy których obraz ten ma nędzy wdzięki! —
Jest szczęście straszne... podobne do męki,
Które fantazya nad wszystko wypiększa. —

Li-Chung-Czang, jako człowiek z głową, sam widzi konieczność ukarania głównych podżegaczy, którzy byliby pewno bohaterami, gdyby Europie nie udało się tak łatwo zwyciężyć, i ruchu narodowego Chińczyków samą psychologią strachu wpuścić w łożysko bezprawia. Po za Czangiem jest jakieś stronnictwo niby postępowe, a napewno kupieckie, które chce ocalić taele i przystaje na otwarcie wszystkich portów, kontrolę europejską, nawet straż dla niej niezbędną. Z tego stronnictwa zapewne wychodzi domaganie się powrotu cesarza chińskiego do Pekinu: on tylko uratować może ojczyznę — jeśli agencye europejskie nie kłamią. Uratuje ją Europa. Warunki pokoju są kością niezgody. Zneutralizowanie Mandżuryi, jakoby na wniosek Anglii, wydaje się pomysłem chybionym, jeśli celem ma być pokój. Utrzymanie Japonii w związku nie odpowiada ujawnionym przez Francyę i Niemcy zamiarom, a wyrzucenie grozi niezgodą i starciem. Tymczasem Waldersee płynie; zdaje się, że przed jego wylądowaniem wojska rosyjskie i francuskie, aby nie iść pod jego komendę, wycofają się z Pekinu.

W Transwalu poddał się świeżo cały oddział boerski. Duch wojenny goni już resztkami. Kruger od dziesięciu dni w Lourenço-Marquez. Jeżeli go Portugalczycy nie wydadzą Anglikom za jaki dług, Holendrzy syna swego przewiozą do kraju — na pogrzeb.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Wiec ludowy. — „Vater unser.“ — Skutki rozporządzenia ministra oświaty. — Jadłospis dla robotników.

Rozporządzenie pruskiego ministra oświaty, p. Studta, znoszące naukę języka polskiego i wykład religii w języku polskim, wywołało wrzenie i masowy protest w społeczeństwie polskiem, głównie w warstwach ludowych. W tym celu d. 8 b. m. zwołano olbrzymi wiec ludowy, na którym jednomyślnie uchwalono następujący protest: „Świadomi praw swych obywatele państwa konstytucyjnego, my, Polacy i Polki miasta Poznania, uroczyście tu protestujemy przeciwko najnowszemu rozporządzeniu ministra, dr. Studta, znoszącemu w szkołach tutejszych naukę religii w języku polskim, a protestujemy z powodów następujących: 1) Rozporządzenie ministra sprzeciwia się prawu bożemu, przyrodzonemu. Od Boga otrzymaliśmy prawo mówienia i modlenia się we własnym, od Niego nam danym języku ojczystym. 2) Rozporządzenie ministra sprzeciwia się słowom króla Fryderyka Wilhelma III, który nas, Polaków, wziąwszy pod opiekę swą, uroczyście poręczył był nam zupełną swobodę i wolność używania języka ojczystego. 3) Rozporządzenie ministra krzywdzi nas w dzieciach naszych, wyzyskuje tychże niemoc wieku dziecięcego oraz przymusowy obowiązek uczęszczania do szkoły rządowej. 4) Rozporządzenie ministra odbiera dzieciom możność religijnego wychowywania, bo nauka zasad religii św. w niezrozumiałym, obcym języku, nie może dać żadnych podstaw religijnych, a rzuca je na pastwę przewrotu. 5) Rozporządzenie ministra ubliża świętości wiary rzymsko-katolickiej, która jest dziełem boskiem, więc do celów politycznych nadużywaną być nie powinna. Z tych powodów i z głębi przekonania podnosimy ten uroczysty protest.“

Prócz tego uchwalono adres do ks. arcybiskupa i doręczono mu zaraz po wiecu, wreszcie wysłano na ręce kardynała Ledóchowskiego do papieża depeszę treści następującej: „Protestujemy przeciwko narzuceniu nam przez rząd pruski nauki religii św. w języku niemieckim, my, zgromadzeni na walnym wiecu w Poznaniu, Polacy i Polki, zwracamy się ku opoce Piotrowej, tej ostoi i źródłu pocieszenia, ślemy Jego Świętobliwości Leonowi XIII wyrazy synowskiego przywiązania i niezachwianej ufności, że w tem ciężkiem, nowem utrapieniu wesprze potomków narodu, który przez długie wieki krew przelewał za wiarę Chrystusową. — *Poznańczycy.*“

Zebranie było tak liczne, że nietylko zapełniła się szczelnie olbrzymia sala ogrodu zoologicznego, ale także pokoje przyległe, korytarze, a nawet spóźnione tłumy stały na otwartem powietrzu. Składały się one przeważnie z rzemieślników i drobnych przemysłowców, głównie mieszkańców przedmieść świeżo przyłączonych do Poznania: Wildy, Św. Łazarza i Jeżyc. Do organizatorów wiecu należy kilku znanych członków stronnictwa ludowego. Ale rzecz wielce charakterystyczna, iż w sprawie tej nie wziął czynnego udziału żaden wybitny przedstawiciel sfer konserwatywnych i umiarkowanych. Pomimo to więc się odbył z wielką jednomyślnością i zapałem uczestniczących w nim mas ludności. Czy wywoła on jakąkolwiek zmianę, czy wpłynie na skasowanie rozporządzenia ministra oświaty — bardzo wątpliwe. Jest on atoli znamiennem świadectwem uczuć mas, do głębi zadraśniętych i żywo odczuwających krzywdę wielką; a więc trzeba się z tem liczyć.

Obawa skutków ujemnych rozporządzenia ministra oświaty jest zresztą nazbyt przesadną. Przedewszystkiem dziecko polskie dowiaduje się bardzo wcześnie, że jest dzieckiem *polskiem* i że należy do narodowości uciskanej, nadto traci wszelką ufność do szkoły pruskiej. Jak zaś dalece dzieci rozumieją już ten gwałt, dowodzi obrazek następujący: Pewien ksiądz pyta chłopca pasącego bydło: „A umiesz ty pacierz po niemiecku?“ — „Kajbym nie miał umieć — odparł na to — kiedy go się w szkole uczyć muszę?“ Na życzenie księdza chłopiec odmówił pacierz po niemiecku i po polsku: „Vater unser,“ stojąc z czapką na głowie i batem w ręku, „Ojcze nasz“ — klęcząc z odkrytą głową, po odłożeniu bata.

Są jeszcze inne, bardzo doniosłe skutki rozporządzenia: Oto dzięki temu demokracya społeczna zdobędzie nowe siły. Dotychczas nie mogła ona w żaden sposób zjednać i przyciągnąć robotników polskich, gdyż oddzielał ich mur potężny — wielka religijność, a z nią związana głęboka zachowawczość. Ognisko polskiej demokracyi społecznej powstało i utrzymało się tylko na Szląsku w okręgach górniczych, dzięki rozwojowi tam walki kulturalnej. Nadto istnieją bardzo drobne grupy w niektórych miastach napół zniemczonych. Wreszcie tu i owdzie są porozpraszane jednostki. *Gazeta robotnicza* w Berlinie skupiła koło siebie bardzo niewielką garstkę demokratów polskich. Wszelkie ruchy

---

Przy niem rozpaczą mój ten raj nadgrobny!...
Lecz o tem szczęściu jużem zapomniała!...
Ważąc się, niby nad ziemią mgła biała,
Dusza ma, prawie wyzuta już z ciała,
Widzi je w dole... w dole... jak punkt drobny!

Czemuż gdy za mną zamknie się alkowa,
Gdy zasnę cicho pod cieniem kotary,
Słucham... czy nocna łopocze tak sowa?...
Nie to za oknem szlochają dwie Mary...

I siadam, czując ten wielki żal stary,
Co jak nietoperz dniem się w lochy chowa,
Biją na duszę moją wiosny czary,
W uszach mi dźwięczy zapomniana mowa. —

O wielki żalu, ty, znamieniu kary!
Któremu daje kształt noc księżycowa,
Widma, powiedzcie, jakie złożyć dary,
Byście pomarły, jakie wyrzec słowa?

Nie umrą! — czuję — znów wiosenne tchnienia
Ze mgieł tę parę utkają złowrogą —
Nie mogąc chyba spełnić przeznaczenia,
Młodości nasze umrzeć w nas nie mogą?!!

Nieraz też głowę wziąwszy w ręce obie,
Cicho w ciemnościach siedząc na pościeli,
Pytam się siebie i rozważam sobie,
O cośmy taki wielki żal powzięli?!

Mów, serce moje, o co ci tak chodzi?..
Cóż cię tak długo, tak głęboko boli?...
Czas przecież wszystkie cierpienia łagodzi,
Róża zakwita na wczorajszym grobie,
A ty odbijasz się w czarnej gondoli
Od brzegów życia i depcesz w żałobie
Nie patrząc na nie, kwiaty bujnej roli...

Powiedz mi, serce, cóż tak ciebie boli?
To, już spłowiało, pół dziecka marzenie,
W złotej nadziemskich widm aureoli,
Takie ci na świat położyło cienie?

Takim snom rzadko los życia pozwoli,
A serca tyją na powszednim chlebie —
Czemuż ty tęsknisz jak ten ptak w niewoli,
Jak duch strącony z nieba po tem niebie,
Iż żadne dobro cię nie zadowoli?

O co ci chodzi, serce, pytam ciebie?
O niezniszczone szczęście osobiste?
Nawet nie szczęście, lecz ten szał złej mocy,
Który nas rzuca w objęcia ogniste
Na kilka krótkich niepowrotnych nocy,
A te objęcia są czasem plamiste...
To pająk, który rozkoszą oprzędnie
Duszę, by skalać ją i ssać, aż zwiędnie...
O toż więc płaczesz, serce moje czyste?

Nie o to płaczesz, nie o to zaiste!
　　Gdy osobiste
　　Szczęście serca zblednie,
　　To ono sięga
　　W wyższe ducha światy,
　　Po doskonalsze uśmiechy
　　I kwiaty
Po tych powszednich — po te niepowszednie!...
Po niepowszednich — po te wieknistе!...

Ten zaś żal... w którym taka tkwi potęga,
Że nie ma w świecie dla niego pociechy,
Że go nie zmniejsza czas, ni oddalenie,
Że nawet szczęście serc z niego nie leczy...
Jest niezawodnie
Nietylko ludzkiej naturze przeciwny,
Lecz porządkowi na całe stworzenie,
Bo przecież wszystko w świecie czas niweczy —
　　To jest żal dziwny!

społeczne śród mas mało oświeconych łatwo się rozwijają na podłożu ich uczuć i wierzeń. Dlatego to agitatorowie starają się zazwyczaj ten grunt wyzyskać. I demokraci usiłowali to samo czynić, biorąc sobie do pomocy uczucia religijne i przywiązanie do mowy ojczystej mas ludowych, ale to się im nie udawało, gdyż występowanie w imię tych uczuć uważano za obłudę i wszelkie agitacye w tym duchu prowadzone przyjmowano z niedowierzaniem. Obecnie demokraci postanowili wyzyskać nastrój mas, podrażnionych rozporządzeniem ministra. W tym celu urządzili w Poznaniu wielkie zebranie, na którem żywo poruszyli sprawę nauki religii w języku polskim i dzięki temu ściągnęli bardzo dużo Polaków. Ktoś nawet zaproponował kompromis ludności polskiej z demokracyą społeczną. Ażeby rozwinąć agitacyę szerzej i skuteczniej, postanowiono wydawać w Poznaniu pismo w języku polskim i nawet przenieść do tego miasta siedzibę głównego zarządu. Zebranie, zwołane w Berlinie, ściągnęło 800 Polaków i zbliżyło ich do demokratów niemieckich.

Niemieckie pisma katolickie krytykują bardzo ostro i potępiają rozporządzenie ministra, a prasa polska skwapliwie cytuje te głosy, żywiąc nadzieję jakiegoś poparcia ze strony centrum katolickiego. Rachuby te, niestety, są mylne. Centrum ma wyższe cele, których nie poświęci na rzecz pokrzywdzonej ludności polskiej i nie wypowie walki rządowi.

Prezes komisyi kolonizacyjnej w W. Ks. Poznańskiem i Prusiech wschodnich, p. Wittenburg, opracował dla robotników wiejskich tak charakterystyczny jadłospis, że będzie on niewątpliwie dla przyszłych historyków urządzeń społecznych bardzo ciekawym dokumentem. Na pierwszym planie figuruje mięso w ilości aż 300 gramów tygodniowo ($^2/_5$ funta), czyli 43 gramy dziennie. Obliczono, że po odrzuceniu kości i tłuszczu taka porcya dzienna waży 20 gramów, tj. tyle, co list zwyczajny. Porcya tygodniowa, 300 gramów, wydzielona jest na trzy dni po 100 gramów. Lepsze warunki w tej mierze mają pensyonarze domów karnych, gdyż dostają po 150 gramów dziennie. W dni niemięsne robotnicy mają otrzymywać po 50 gramów tłuszczu. Prócz tego obiad składa się z kaszy lub krupniku, grochu i kartofli, wieczerza z zupy mącznej lub chleba. Na śniadanie dostają po 7 gr. kawy, 3 gr. cykoryi i $^1/_{20}$ litra mleka. Obiady w dni mięsne mają ogółem kosztować na osobę 16,05 fen., w dni bez mięsa — 12,05 fen., śniadanie 2,05 fen., wieczerza 2,75—3,21 fen. Na wieczerzę mają dostawać mleko odtłuszczone, w dni postne po jednym śledzi (raz na tydzień) lub po 100 gr. sera (zwykła porcya ma być wtedy zmniejszoną). Soli na głowę wyznaczono po 40 gr., korzeni za 0,4 fen., octu przy potrawach kwaśnych 0,4 litra na głowę. W uroczyste święto robotnicy mogą otrzymywać *trochę więcej* mięsa.

Cały koszt utrzymania, obmyślanego przez p. Wittenburga, wynosi niespełna 43 fen. (Utrzymanie chorych w szpitalach wynosi 80—92 fen. dziennie, żołnierzy — 80 fen.). Wiadomo, iż do utrzymania organizmu ludzkiego niezbędnymi składnikami pokarmowymi są: białko, tłuszcz i węglowodany. Robotnik dorosły dostatecznie może się odżywić (pracując 8—10 godzin dziennie) przy zachowaniu następującego stosunku tych składników: na 118 gramów białka 56 gramów tłuszczu, 500 gr. węglowodanów. Przy pracy więcej natężonej stosunek owych składników wynosi: dla robotnika rolnego 184 gr. białka, 185 gr. tłuszczu i 766 gr. węglowodanów. Tymczasem skład pożywienia, zaleconego przez p. Wittenburga, wynosi: 96 gr. białka, 86 gr. tłuszczu i 732 węglowodanów. Pożywienie takie zaledwie może tylko utrzymać organizm ludzki przy życiu.

To też prasa przyjęła z oburzeniem jadłospis p. Wittenburga. Między innemi znany publicysta, von Gerlach, wypowiedział następujące uwagi: „Nie wiemy, gdzie pan prezes komisyi kolonizacyjnej zebrał dane, na których mocy przyszedł do przeświadczenia, że można robotników dostatecznie wyżywić za 40 fen. dziennie. Niewątpliwie, są ludzie odżywiający się nawet taniej. W Chinach np. podobno utrzymanie robotnika kosztuje tylko 8 fen. dziennie. Tymczasem robotnicy rolni w prowincyach wschodnich wymagają na swoje wyżywienie aż pięć razy tyle, co kulisowie. Co za zbytek! Prawda, Chińczycy są przeważnie jaroszami, żywiącymi się wyłącznie ryżem. Ale pan prezes komisyi zdaje się mógłby należeć do „Towarzystwa stopniowego zaprowadzania wegetaryanizmu..“ Jeżeli przy pracy, trwającej latom 18 godzin dziennie, robotnik otrzymuje pożywienie za 40 fenigów, to dziwić się trzeba, jakim sposobem komisya kolonizacyjna może sobie zdobyć robotników.“

Dzienniki liberalne i wolnomyślne przychodzą do wniosków następujących: Jeżeli instytucya zasobna, rozporządzająca olbrzymimi środkami i nielicząca wcale na zyski, żywi tak nędznie swych robotników, to czegóż spodziewać się można od prywatnych właścicieli ziemskich, zadłużonych i zrujnowanych?! Liche żywienie, niska płaca i złe traktowanie robotników wiejskich — to główna przyczyna wyludniania się wsi na kresach wschodnich.

et.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Reformy szkolne.

Początek nowego roku szkolnego przynosi cały szereg świeżych rozporządzeń. Okólniki ministeryalne zostały już rozpatrzone w jednym z poprzednich numerów *Prawdy*, obecnie zaś musimy zwrócić uwagę na ciekawą nowalię pedagogiczną. Oto wiadomo powszechnie, że stale nietylko w Warszawie, ale i na prowincyi brak miejsc wolnych w szkołach. Na jedno miejsce wolne w klasie przypada dziesięciu albo i więcej kandydatów. Otóż, jak pisze *Warsz. Dn.*, dyrektor III gimnazyum w Warszawie, p. Sokołow, wpadł na pomysł utworzenia w kl. I-ej oddziału równoległego, w którym jednak lekcye odbywałyby się po obiedzie pomiędzy godziną 2 a 6-tą. W ten sposób praca w klasie pierwszej odbywać się będzie w dwóch zmianach. Nie przypuszczamy, aby ta inowacya nie miała znaleźć naśladowców. Gdy projekt p. S. uzyskał zatwierdzenie ministeryalne,

Tak nie żałują ludzie żadnej rzeczy!
Tak dusze dręczą się tylko za zbrodnie!
I kto wie? Kto wie? — czyśmy nie spełnili zbrodni?
To było jednak wielkie zjawisko natury!
Ta miłość miała ogrom słonecznej pochodni,
Mogła była oświetlić i ogrzać lazury...
A myśmy ją jak świeczkę zdmuchnęli — wyrodni!
Ale to uczucie —
Które i w ślubach szczęśliwych nie znika,
Które z ukrycia
Wychodzi nocą, jak duch na pokucie,
By nad wyschniętą oddawna krynicą
Łaknąć — jej wierne,
Chociaż ma inną do picia
Cysternę?! —
— Jest jakąś wielką tajemnicą
Życia!!!
Żądza rozkoszy? — zanadto jest krucha,
By wytłomaczyć to w nas bez przykładu
Wywiązujące się zjawisko ducha!
Żądze... podobne motylemu stadu
Lubią przesiadać się z ciała na ciało,
Żyjąc słodyczą, nie chcą wspomnień jadu...
Po żółtej lilii ssą lewkonię białą,
Po jarzębinach bursztyn winogradu —
Gdyby uczucie na roskoszy stało,
Jakżeby motyl ten, wśród wiecznej zimy
Bez pól różanych i bez brzoskwiń sadu,
Wyżył nad nagą w nas pamiątek skałą?!
Nie, nie z tej przyczyny,
Zanadto słabej, zbyt marnej i gminnej,
Mogłyby wyrość z serc takie olbrzymy! —
Nasz żal nie może być żaden żal inny,
Jeno po stracie jak świat!!... z naszej winy.

Tylko przyczyną wielką się tłomaczy
Wielkie zjawisko!... Musi mieć ta strata
I tego żalu wymiar! Nieinaczej!
Tylko przez nas przepadło jakieś arcydzieło...
Coś wielkie, piękne, drogie niechybnie dla świata
Razem z naszą miłością zginęło!

Bo i skądżeby takie uczucie się wzięło?
Skądby to serce zmienne i ułomne
Na taką w nas się potęgę zdobyło?
Na żal, co lata
Przetrwał z równą siłą?...

To nic innego, tylko ta miłość na ziemi
Musiała przeznaczenie mieć jakieś ogromne!
Czegoś takiego miała stać się rodzicielką,
Co, przytwierdzone gwiazdami złotemi —
Jako jeszcze odwieczna Myśl — do firmamentu,
Czekało tam, aby przez nas przejść w granice bytu.
Ale myśmy targnęli firmamentu belką,
Dyamentowym słońca zakręcili guzem...
I ono spadło... przez nas strącone z błękitu
Do nieziszczonych nigdy przeznaczeń odmętu
I zdruzgotane zostało do szczętu!!...
A serca nasze przywaliło gruzem
Żalu, wielkiego tak, jako był wielki
Cel, który i tę miłość zrobił wielką!

Może serc naszych dwie drobne kropelki
Z jakiemś morzem wszechświata miały wspólne źró-
Może gdy od drugiego brutalnie oddarte [dło?...
Krwawiło serce w miejscu, gdzie się z tamtem zrosło...
Może gdzieś jakieś słońce od tego ochłódło?...
Może związany z nami przeznaczeniem losu
Jakiś byt, sprawujący nad otchłanią wartę,
Upuścił sterujące po eterze wiosło
I pogrążył się w głębie chaosu. —

Może ta miłość była wpisana do księgi,
Ułożonej wprzód jeszcze, zanim chaos stężał?
Możeśmy rozerwali ciągłość przyczyn wstęgi,

spodziewać się należy, że inne gimnazya pójdą za tym przykładem. W ten sposób nadmiar kandydatów do klasy pierwszej znajdzie drogę, którą odpływać będzie. Cóż jednak dalej poczną z sobą dzieci, które szczęśliwie przejdą do klasy drugiej? Czy istnieje zamiar wprowadzenia tej nowej próby i w zastosowaniu do klas wyższych? Czy projekt zatwierdzony przez p. ministra oświaty rozciąga się i na klasy wyższe? Nie są to wcale retoryczne tylko pytania. Jeżeli bowiem nie wszyscy uczniowie, wstępujący do gimnazyum, je kończą, a część może nawet znaczna, dla różnych powodów, urywa swoje wykształcenie klasyczne pośrodku mety, to klasa czwarta jest etapem w zamiarach rodzicielskich najpewniej pierwszym. A w takim wypadku należy już dziś zastanowić się nad pytaniem, czy takie „poobiednie“ oddziały równoległe będą z czasem założone dla klas następnych. Łatwo bowiem zdarzyć się może, że ich nie będzie i że wtedy większa część uczniów, promowanych do klasy drugiej, otrzyma zamiast możności dalszego kształcenia się dyplom z ukończenia klasy pierwszej wraz z dodatkiem orzekającym, że „okaziciel ma prawo wstąpienia do klasy drugiej każdego gimnazyum klasycznego.“ Błędne koło zamknie się znowu, a piękny sen, iż „każdy powołany został wybranym“— pryśnie, niby bańka mydlana, wypełniona próżnią — nadziei.

Jeszcze o Franciszku Tarczyńskim.

Czytelnik może zechce przypomnieć sobie wspomnienie, drukowane na tem miejscu przed kilku miesiącami. Przebrzmiało ono: nie opiewaliśmy czynów bohaterskich tenora, atlety, ostatecznie bankiera. Chodziło jeno o skromnego, cichego a ubogiego nauczyciela gimnazyalnego, który pracą żelazną zdołał zgromadzić w Płocku zbiór archeologiczno - etnograficzny, największy, jaki u nas w kraju istnieje. Przed kilku dniami — jak czytamy w *Echach płock. i łomż.* — dokonano spisu inwentarza, który wykazał, że ogólna ilość „sztuk“ nagromadzonych przekracza *5,000.* „Teraz dopiero — dajemy tu głos dobrze poinformowanemu miejscowemu— po bliższem rozpatrzeniu widocznem się staje bogactwo, jakie w puściznie po sobie zostawia Płoczczanom, Tarczyński.“ Obecny przy otwarciu mieszkania p. Erazm Majewski, „zdziwiony poprostu został tą pracą niezamożnego nauczyciela kaligrafii.“

Rzeczą inteligencyi miejscowej będzie prowadzić w dalszym ciągu dzieło tak pięknie zapoczątkowane. Przekazując swoje zbiory umiłowane księdzu Kowalewskiemu, śniło mu się pewnie, że urośnie z nich kiedyś muzeum archeologiczne i etnograficzne. Byłoby bardzo bolesnem i wcale byśmy się z tą myślą pogodzić nie umieli, iżby ten rozumny i szlachetny cel ziścić się nie miał. Najtrudniejszy początek jest już przełamany. To co jest, wypełnić może zbiory muzealne na czas dość długi. Ileż rozkoszy, ileż nauki wypłynąć może z oglądania, z badania tych objawów dawnej sztuki, dawnej kultury, dla mas szerokich, dla młodzieży. Jakie obrazy wysnuwać z nich może fantazya, skądinąd przez naukę, przez tragedyę historyczną nietknięta? Pomyślmy tylko. Oby ręce, w które złożono to wielkie bezgranicznie dzieło poświęcenia — okazały się zczasem rękami miłującej matki, a nie macochy!

Mądre pomysły i rozumniejsze jeszcze czyny.

Jak paruset innych śmiertelników, otrzymałem od *Kuryera Warszawskiego* zaproszenie do zbiorowej roboty, mającej rozstrzygnąć, „które z dzieł nauki, literatury i sztuki polskiej XIX stulecia współcześni uważają za najlepsze,“ a otrzymawszy przeczytałem i zamyśliłem się nad łamigłówką, tak uprzejmie nadesłaną. Co mam począć z tym utworem lekkiej myśli? Dozwolono mi wspaniałomyślnie w każdym z czternastu działów, za przeciąg całego stulecia, wymienić jedno, w drodze szczególnej łaski aż *dwa* dzieła, z zastrzeżeniem jednak, iż „za dzieło wyższe uznawać się będzie utwór wymieniony na pierwszem miejscu.“ Redakcya zaręcza, że „dzieła, uznane za najlepsze na tym konkursie stulecia, uprzytomniane będą następnie ogółowi w miarę możności na wystawach, koncertach, lub w inny sposób ku chwale swoich twórców!“ Z całej ankiety zrozumiałem jedno, mianowicie iż chyba mam do czynienia z jakimś żartem. Naturalnie nie ze mnie, bo *Kuryer* bałwochwalczo hołduje cennej zasadzie mądrości codziennej, która każe każdemu żyjącemu grzecznie się kłaniać, byleby ów ktoś posiadał całe łokcie u surduta. Zadrwiono więc jedynie z nauki, której czapkować nie warto, a nadto rzucono garść piasku frazeologicznego w oczy opinii publicznej, tej naiwnej babuleńce, kiwającej w półśnie głową z radości na wieść o każdym „czynie obywatelskim.“ A może prawdziwa jest hypoteza, iż nietylko ludzie, ale i pomysły idą na marne, ilekroć przyczepi się do nich etykieta *Kuryerkowa*, a jeszcze prawdziwszą inna, że jak woda z ogniem, tak samo powaga i wiedza nie godzą się z przedsiębiorstwami, odbierającemi chleb kumoszkom-plotkarkom.

Nawet w zakresie sztuki, gdzie, pomimo płynących fal czasu, utwory nie tracą swojej wartości w ciągu stulecia, trudno wyrokować, które z arcydzieł jest najlepsze. Cóż mówić o nauce! Najznakomitsze płody myśli ludzkiej posiadają tam wartość zwykle czasową, trwającą najwyżej parę dziesiątków lat, poczem znikają z powierzchni, jedynie swoim twórcom zapewniając miejsce w Panteonie wielkich nazwisk. Śniadecki — ale przecież fejletonista, wtajemniczający czytelników *Kuryera* w zdobycze nauki o jestestwach organicznych, posiada więcej wiedzy o przedmiocie i zdołałby powiedzieć rzeczy, o których nawet nie śniło się wielkiemu przyrodnikowi! Lelewel — lecz dzisiaj drugorzędny historyk zapędziłby w kąt wielkiego Joachima! A jednak Skarbek, Lelewel, Śniadecki byli wielkimi myślicielami, którzy zaszczyt czynili swojem nazwiskiem narodowi i umieli godnie go reprezentować w sferze nauki wszechludzkiej. Nie! czuję, iż ręka by mi zdrętwiała, gdybym miał odpowiedzieć na nadesłaną zabawkę, która każe wymieniać jedno tylko najce... niejsze dzieło z historyi, ekonomii, przyrody, wówczas gdy mogę odpowiedzieć jedynie na to, którzy z rodaków moich *w swoim czasie* dostarczyli nowych a oryginalnych przyczynków do skarbnicy wiedzy. A cóż pocznie biedny przyrodnik, któremu kazano wymienić jedno tylko dzieło z ogółu wszystkich nauk przyrodniczych, a więc fizyki i chemii, geologii i paleontologii, biologii i antropologii, z ich wyspe-

---

Wyrwawszy jakieś ważne ze środka ogniwo,
Które sam Los kuł wieki i w palcach je zwężał?...
Możeśmy się oparli marzeniom Potęgi,
Króra dzierży nad światem dłoń władczą i mściwą?...
Plon wiecznej Myśli przez czas upadł lub zmitrężał
I już na wieki wszystko poszło krzywo...
I ten występek nad nami zaciężał?!!

Może Geniusz ludzkości, tworząc krocie, krocie
Dusz próbnych i wraz niszcząc chybiające wzoru,
Już pół wieczności przetrwał na robocie,
Gdy na drzewie ludzkości z kształtu i koloru
Ujrzał, że kwitną wreszcie pożądane dusze,
Do dzieła mu potrzebne, dla których katusze
Poronionej twórczości zniósł... Dwie nasze Dusze!...

Może jedynie z takich jak my dwu gałązek,
Tylko z ich kwiatu przez miłości związek
Otrzymać mógł tę duszę — cud, o której marzył?

Więc zaraz te kwiaty,
Jak magnes z żelazem, skojarzył..
Miłości spętał nieprzepartym czarem...
Sypał na nie snopami iskry i szkarłaty —
I kwiaty
Jęły się giąć ku sobie całym ciał ciężarem,
A każdy z nich odurzał i jak płomień parzył!...

Radosny i cichy
Geniusz czekał już tylko z wyciągniętą dłonią,
Aż to ciążące ku sobie kielichy,
Własną nawzajem odurzone wonią,
Dotkną się siebie korona koroną,
Wydadzą iskry i od niej zapłoną...

Czekał na moment i na żar uścisku...
By z dwu dusz naszych gorejącej treści
Wytopić nowy Duch... Naszego Syna!
Może On był gdzieś jakąś olbrzymią potrzebą!
Może świat wzdychał ku jego zjawisku? —
O urodzinach jego tryumfalnej wieści
Może oczekiwała łez i krwi dolina...

Może jej wyglądało świętujące niebo?
Może tam już zwijano wieńce z róż Edenu
I zapalano nowych gwiazd miryady,
Jako pochodnie naszego hymenu?...

Może ten Syn nasz pierwszy miał postawić nogi
Na ziemi obiecanej, wódz ludzkiego rodu...
Może Tytan, ująwszy w swe potężne bary
Całą tę ciężką kulę leniwego chodu,
Byłby ją wnet przerzucił o pół wiecznej drogi
Na jakieś lżejsze, jasne otoru obszary?

Kimkolwiek miał być... Heros, czy Myśliciel blady,
Czy ludzkich sumień Mistrz cichy i święty...
Wśród rzeczy, co się jeszcze mają stać, gromady
Czekał na ciało...
Aby z otchłani być pod słońce wzięty...

Geniusz ludzkości, ziemia, niebo z nim czekało
Na jeden twórczy uścisk!...
I to się nie stało!
I myśmy ośmielili się temu przeszkodzić!

Z piersi ludzkości, przez to wstecz cofniętej,
Może o pół wieczności później, niż być miało,
O pół wieczności później ma się zbawca zrodzić!

KONIEC.

cywilizowanymi poddziałami. Albo co uczyni zajmujący się humaniorami z tem *pelemele*, jakiem go potraktowano, jak gdyby był jednym z rączych sylfów kuryerkowych od wszystkiego i do wszystkiego. I badacz przyrody, i społecznoznawca, i wielu innych uczyni to, co ja — przeczytają zaproszenie, roześmieją się i odłożą ankietę tam, dokąd się rzuca bezużyteczne papiery... Ale nie rozpaczajmy nad niedojściem konkursu, bo owszem dojdzie on do skutku, a jego rekomendacye dostarczą materyału do ozdoby wystaw i innych przybytków lekkich duchów. Nawet z góry przepowiedzieć zdołamy jego wyniki. Za najlepsze dzieło uznanem zostanie *Quo vadis*, które nie zaraziło społeczeństwa żadną wielką ideą, a z nadesłaniem uwag swoich pospieszą wszyscy ci, którzy nie nauczyli się odróżniać pracy naukowej od gawędki podczas *five o'clock'ów*...

Odkładamy więc zaproszenie na bok, ale odkładamy z przykrem uczuciem.

Albo redakcya *Kuryera* z lekkiem sercem jęła się rzeczy poważnej, a wtedy smutek nas ogarnia, iż w tak ubogiem w naukę społeczeństwie ośmielają się igrać z rzeczami, z któremi igrać nie wolno; albo zrobiła to z zupełną wiarą, iż stanęła na wysokości podjętego zadania, a wówczas wydała przygnębiające świadectwo naszej moralności publicznej: gdzież jesteśmy, jeśli możliwa jest taka arogancya!..

Qui pro quo warszawskie.

Przed kilku miesiącami „Towarzysz broni" ogłosił w *Ateneum* „Metodykę badań starożytniczych", pisaną piórem ciętem a ofiarowaną zjazdowi historyków polskich w Krakowie, zamiast programu. Autor pragnął pozostać bezimiennym, chociaż dzisiaj nawet wróble na dachach Warszawy wiedzą, iż pod pseudonimem tym ukrywa się jeden z najwybitniejszych i najsumienniejszych badaczów naszych, nietylko odznaczający się erudycyą w swojej dziedzinie, ale i sporym zasobem krytycyzmu i polotu. Zaznacza on z góry, iż jego przyczynek do metodyki — to tylko zbiór aforyzmów, — oświadczenie, które zwalnia go od zbytniej ścisłości, acz wybrykowi dobrego humoru nie odejmuje wartości naukowej. Z każdego wiersza wyziera tam głęboka wiedza, uzbrojona przytem w zjadliwą ironię i zręczną krytykę wielu przedwczesnych uogólnień, szablonów i urojeń. Pan Maryan Massonius, wieloletni nasz filozof *in spe*, oraz pan Erazm Majewski, mecenas różnych nauk i fejletonowy raczej, niż istotny uczony, postanowili dać odprawę śmiałkowi, który tak bez ogródki zażartował z różnych naszych wielkości i w sposób krotochwilny, tj. bez dygania i innych oznak czołobitnej grzeczności (właściwych nauce warszawskiej), poprosił p. E. Majewskiego zbadać, czy Kaliszan nie stać na kilka łopat i motyk na wystawę starożytniczą ich okolic. Nie chcę bynajmniej twierdzić, ażeby obaj panowie nie mieli miejscami słuszności, bo wobec garstki aforyzmów nie jest to rzeczą zbyt trudną. I przeciw odpowiedzi, jako takiej, w zasadzie nic zarzucić nie możemy: kto na bój wychodzi, musi być przygotowany na pociski. Ale są szczegóły, które w odpowiedzi zbiorowej nas oburzyły — naprzód ton jakiś osobliwy a wcale nie przystojny, a następnie śmiałość, z jaką p. E. Majewski, typowy uczony fejletonowy i z ducha swego i z prac, którego pretensye do rozgłosu stają się w odwrotnym stosunku do rezultatów jego zapobiegliwości naukowej, ośmiela się rzucać w oczy sumiennemu badaczowi obelgę, iż jego przyczynek, to „śmiały krok w kierunku sfejletonizowania nauki"! Przypomina mi się podstarzała dama, mająca sporo wybryków w przeszłości, karcąca przykładną matkę rodziny za to, iż przypięła kwiatek polny do kapelusza. *Kuryer warszawski*, który zdaje się dyskretnie przemilczał wiadomość o aforyzmach bezimiennego „towarzysza broni," przedrukował — naturalnie! — aforyzmy końcowe obu panów, mające być przestrogą dla śmiałka, aby nie próbował na przyszłość podobnie zjadliwych epigramów a dalej prowadził swoje sumienne przyczynki, o których w prasie mniej się mówi, niż o pierwszej lepszej pracy p. E. Majewskiego. Niech mi wolno będzie obrócić jeden z aforyzmów pracy zbiorowej przeciw p. Majewskiemu, a mianowicie ten: „rzeczy naukowych w sposób fejletonowy nie traktuj" z dodaniem rady: „jeśli często tak grzeszyłeś, to nie bądź zbyt okrutnym dla bezimiennego uczonego, który po wielu latach prawdziwej nauki dał w przystępie dobrego humoru parę zręcznych aforyzmów." Co zaś do drugiego krytyka, to mam nadzieję, iż jego filozofia *in spe* wstąpiła w okres rozwiązania. Należałoby jeszcze powiedzieć nieco o metodyce — mamy nadzieję, iż niebawem powrócimy do tego przedmiotu.

Nasza współdzielczość.

Otrzymaliśmy ostatnie (62) sprawozdanie stowarzyszenia spożywczego „Merkury" za pierwsze półrocze r. b. Nie zwrócilibyśmy na nie żadnej uwagi: stowarzyszenie rozwija się słabo, energię wykazuje anemiczną, postępuje naprzód krokiem żółwim. Zarząd broni się tem, że stowarzyszenia nie mogą rozwijać się prawidłowo, mają bowiem do zwalczenia stałą konkurencyę innych podobnych stowarzyszeń: „u nas ile władz, tyle stowarzyszeń," woła sprawozdawca i powołuje się na korespondencyę wileńską, drukowaną w *Kraju*, gdzie istnieją sklepy i spółki spożywcze urzędników kolei Poleskich, Banku ziemskiego, Banku handlowego, oficerów wileńskiego okręgu wojennego, urzędników pocztowych, kolei Warszawsko-Petersburskiej itd. Nas cieszy tylko ta różnobarwność i ten rozkwit współdzielczości. Rzecz pewna, że byłoby jeszcze lepiej, gdyby wszystkie te sklepy spożywcze połączyły się w jeden wielki organizm. Ceny towarów mogłyby być wtedy niższe, a dobroć ich wyższa. Żadnej racyi jednak nie ma zarząd, twierdząc, że skutkiem takiego współzawodnictwa zyski osiągane przez stowarzyszonych „Merkurego" muszą być nizkie. Dlaczego? Wszak Warszawa rośnie nad wszelkie oczekiwania; rynek zbytu rozszerza się z dnia na dzień. Dlaczego zarząd nie próbuje go opanować? Nie widzimy wcale ze sprawozdania, aby jakiekolwiek próby były w tym kierunku prowadzone. A że w państwie „chleba" rządzi niepodzielnie zasada „ôte-toi que je m'y mette," tedy nic dziwnego, że z opieszałości, z braku sprytu, albo z innych „względów" — korzystają osoby trzecie, które umieją zachęcić swoich klientów bądź to taniością, bądź dobrocią towarów — tworzą spółki spożywcze, dają zyski itd.

Właśnie być może dla *innych względów!* I dla tych właściwie nie zatrzymujemy się dłużej nad orędziem „Merkurego." Tym *innym względom* poświęcił zarząd aż 39 kartek sprawozdania (na 59!). Chodzi mianowicie o opozycyę, która według opinii zarządu niesłusznie od lat kilku wprowadza zamęt do spraw stowarzyszenia. Istotnie, fakty, o których wspomina sprawozdanie, są wcale niepocieszające, a nawet wiele dają do myślenia. Ale czyż tam tylko o drobne chodzi ambicyjki, albo czy istotnie owa dama, która przed kilku laty rzuciła zarzewie walki w *Kuryerze codz.*, „pragnęła dostarczać do sklepów Merkurego produkty spożywcze, jakoby nadsyłane jej przez znajomych ze wsi, lecz gdy produkty te były niedobre, zarząd nie chciał korzystać z jej pośrednictwa"? Trudno nam wierzyć, aby taka, w takiem świetle przedstawiona opozycya umiała „zjednać sobie większą część prasy"—która wszak nie jest chyba zainteresowana ani w dostawach cukru, ani w cenach ryżu? W każdym razie wszystkie te perypetye tragikomiczne są bardzo smutne i domagają się stanowczej poprawy stosunków. Sądzimy, że zarząd sam powinien w swojem łonie znaleźć czynniki reformy stosunków, które w każdym razie wpływają nader ujemnie na rozwój stowarzyszenia. Walka z opozycyą, jako taką, nie da żadnych rezultatów: opozycya jest i musi być w każdej organizacyi zbiorowej: od jej obecności często zależy normalny, a więc dodatni rozwój stowarzyszenia. Rzeczą tedy godziwą jest postarać się o taki skład członków, któryby wyłonił z siebie rozumną w myśli o korzyści stowarzyszenia, nie zaś o własnych korzyściach albo ambicyach poczętą opozycyę.

BADANIA NAUKOWE.

Wł. M. Kozłowski: *Co i jak czytać? (wykształcenie samego siebie i czytelnictwo metodyczne)*. 1900. **Br. Natanson.**

Co stanowi istotę wykształcenia, jakie są jego cele, jakie środki ku tym celom prowadzą? — oto szereg zagadnień, których rozwiązaniu autor poświęcił swoją pracę. Dokładne jej streszczenie odsłania obraz następujący.

Wykształcenie musi objąć człowieka, jako jednostkę świadomą, moralną i społeczną. „Nie sama tylko nudna szkoła i niemniej nudne prelekcye mają monopol kształcenia umysłów naszych. Istnieje cały szereg ubocznych źródeł wykształcenia, a do tych należy i samo życie," pomimo to głównem źródłem pozostanie zawsze książka. Chociaż, czyniąc zadość potrzebom samouctwa i wykształcenia co do umiejętnego wyboru dzieł, istnieją katalogi dzieł wyborowych, układane przez Aimé-Martin'a, Comte'a, Lubbocka, Schönbacha i innych — wszakże indywidualne różnice, dążności i upodobania zmuszają każdego do układania specyalnego dla siebie katalogu. Gdy tak zwana inteligencya, wychodząc z utartych utylitarystyczno-obyczajowych, a powierzchownych sądów, utożsamia wykształcenie, z ogładą, łatwem sądzeniem o wszystkiem, dyplomem wyższego zakładu, czytaniem o rzeczach snadnych — spojrzyjmy dla pogłębienia kwestyi z dwóch stanowisk: teoretycznego i praktycznego. Ze stanowiska teoretycznego wykształcenie zmierza do doskonałości osobniczej, polega zaś na poznaniu dzieł klasycznych, ze stanowiska praktycznego—dąży ono, ogólnie mówiąc, do uspołecznienia jednostki. Widzimy zatem, iż obydwa dążenia uzupełniają się wzajemnie. „Zadaniem prawdziwego wykształcenia jest wytknięcie pewnego celu w życiu, ku któremu skierowałyby się wszystkie cele pomniejsze, krytyczna ocena środków ku jego osiągnięciu, zbadanie siebie samego, swojej dotychczasowej wiedzy, zdolności, upodobań i pragnień."

Stanowisko teoretyczne. Przedewszystkiem wykształcenie musi być ogólnem, więc żywioł ogólno-ludzki winien w niem zająć najszersze miejsce, potem musi być uniwersalnem, polegającem na poznaniu wszystkich zasadniczych nauk: czyli zgodnie z rozwojem umysłowym człowieka po przebudzeniu się w nim świadomości, musi objąć — krytykę, „obraz umysłowości ludzkiej w jej stopniowym rozwoju," filozofię dziejów i umiejętności społeczno-prawne (encyklopedya prawa, prawo państwowe i ekonomia społeczna). Wyrobienia światopoglądu jednolitego, wolnego od sprzeczności, pojednania dwóch dzie-

dzin odrębnych — świata przyrodniczego i humanitarnego — wykształcenie winno szukać w naukach filozoficznych, które się dzielą: 1) na filozofię teoretyczną i 2) na filozofię praktyczną: etykę, estetykę, filozofię religii, filozofię dziejów i filozofię społeczną (?): następnie winno być uzupełnionem przez studya nad teoryą poznania i metafizyką. W końcu poważna publicystyka, roztrząsająca — hasła filozoficzne, formy bytu państwowego, wpływy nowych prądów w religii, sztuce, poezyi na ukształtowanie się sił społecznych, kwestyę społeczną (kw. kobiecą, robotniczą, drobnej własności ziemskiej, oświaty ludowej), wieńczy teoretyczną część wykształcenia, a zarazem stanowi przejście do praktycznej działalności jednostki. (Uwagi i wskazówki, dotyczące techniki lektury wogóle i specyalnie umiejętności czytania dzieł poetyckich).

Stanowisko praktyczne. Z tego stanowiska wykształcenie dąży ku wytworzeniu ideałów społecznych, opartych na filozofii życia. Mamy tu więc oprócz zagadnienia poznania, o czem była już mowa, jeszcze: zagadnienie moralne, szczęścia i życia czynnego. Udoskonalenie moralne wymaga hartowania charakteru i woli, ograniczania potrzeb osobistych, ukochania jakiejś idei. W dążeniu ku tej ostatniej osiąga się zadowolenie wewnętrzne, czyli szczęście. Świat poznawczy i moralny wytwarza ideały, które są urzeczywistnialne w przybliżeniu. Utworzenie ideału społecznego stanowi szczyt wykształcenia jednostki, na to zaś głównie wpływa sympatya i antypatya, intuicya moralna i znajomość rozwoju wszystkich czynników kultury.

Po możliwie przedmiotowem zreferowaniu dzieła, pozwolimy sobie na niemniej, jak tuszymy, przedmiotowe uwagi krytyczne; rozpatrzymy książkę ze stanowiska: 1) teoretycznego, 2) dydaktycznego i 3) formalnego. 1. Przedewszystkiem dziwnem się nam wydaje, iż autor, rozprawiając przeszło na 240 stronach o wykształceniu, jego zadaniach, celu i środkach, nie określił nigdzie jego istoty, (określenia takie, iż jest ono „prawdą“ lub „oświatą,“ było „pięknem“ lub „dobrem,“ są zgoła niewystarczające). Zadanie zaś wykształcenia, o którem autor szeroko rozprawia, jest rzeczą zgoła odmienną od jego istoty, z której wypływa, jako z czegoś dającego się sformułować i uświadomić.

Więc cóż to jest wykształcenie? Paulsen trafnie określa jego istotę: „Jest to jasne i głębokie pojmowanie, przenikające w istotę naturalnej, historycznej rzeczywistości; prawidłowy sąd o warunkach i zadaniach życia osobistego, żelazna, całkiem obwarowana od wszelkiego wahania się wola, skierowana ku wzniosłym celom, subtelne poczucie obowiązku, w końcu trzymana w karbach uczuciowość z uszlachetnionemi dążnościami do rozkoszy, które odtrącając wszystko co poziome, zdolne są do pojęcia piękna i służą za podstawę i odbicie tego, co niezbędne dla bogatego życia duchowego.“ Jeżeli tedy wykształcenie jest zdolnością sądzenia o rzeczach, niezależnem, samoistnem rozumowaniem, opartem na przedmiotowej znajomości faktów — i zdolnością postępowania na zasadzie wewnętrznego przekonania, w jakim więc jest ono stosunku do samouctwa? Czy, zgodnie z autorem, samouctwo — to tylko uzupełnienie nauki szkolnej, a wykształcenie to rzecz całkiem odmienna? Podług p. K. „drogi obu nie krzyżują się nawzajem,“ zgodnie zaś z istotą rzeczy wypadałoby przyjąć, iż samouctwo prowadzi do wykształcenia; to drugie jest rezultatem pierwszego, skutkiem dobrze przetrawionego materyału naukowego, i w tem znaczeniu nie jest naleciałością zewnętrzną, lecz czemś, kiełkującem w głębi człowieka, rozwijającem się i dającem możność rozwoju; nie jest ono agregatem, lecz organiczną i jednolitą całością. Stąd zadanie wykształcenia staje się jasnem samo przez się, jako rozwinięcie, wydoskonalenie i uszlachetnienie wszystkich władz przyrodzonych człowieka.

W jaki więc sposób musimy zabrać się do pracy nad samowykształceniem? Czy wytknąć sobie jeden cel w życiu i skierować ku niemu swe wysiłki, czy obrać jaką ulubioną naukę dla studyów, czy znów wertować stosy encyklopedyj i wchłaniać w siebie katalogi Schönbachów, Comte'ów, Lubbocków i innych? P. K. w określeniu swojem zaznacza, iż środkiem najważniejszym dla wykształcenia jest obranie sobie celu w życiu, lecz po za tem określeniem stara się to wykształcenie wypełnić taką mnogością nauk, dzieł i autorów, iż niejeden samouk do przeczytania wzmiankowanej książki zrezygnuje chyba raz na zawsze z pracy nad sobą. P. K. w zasadzie wykształcenia kładzie wszechwiedzę; naszem zaś zdaniem, podobny uniwersalizm, pragnący wciągnąć do programu wykształcenia wszystkie niemal nauki, w pewnym z góry ułożonym porządku, zgodnym niby z naturalnym rozwojem umysłu i nauki — rozminie się stanowczo ze swojem przeznaczeniem, gdyż może wytworzyć jedynie powierzchownych wszystkowiedzów i dyletantów, lecz nigdy ludzi z głębokim, oryginalnym światopoglądem. Nauka jest jedną; upodobnić ją można do naszego globu: istniejące tu i owdzie przepaście i wyrwy pozornie tylko rozczłonkowują jej spoistą całość — na dnie tych wyrw i kraterów, które czas zgłębi i odsłoni przed człowiekiem, istnieje ścisły związek poszczególnych umiejętności, gdyż umysł ludzki jest jeden i dostępna dla niego prawda też jedna. Czas już porzucić błędne mniemanie, jakoby wykształcenie było jedynie gąbką, wchłaniającą wszelkie soki naukowe i za pierwszem lepszem ściśnięciem zwracającą zawartość w postaci pierwotnej, bo tak nie jest; wykształcenie, to też, powiemy, to chemiczna reakcya, gdzie różnorodne elementy, poddane doświadczeniu, organicznie spajając się z sobą, stwarzają ciało jednolite. Więc czy wypada stąd, iż mamy brać po kolei każdą naukę i poddawać ją próbie naszego rozumu? Bynajmniej. P. K. zaznaczając, iż wykształcenie musi być mniej encyklopedycznem, bardziej systematycznem, świadomie czy bezwiednie drwi chyba z czytelnika, oszołomionego potokiem nauk niezbędnych (podług autora) dla wyrobienia światopoglądu, bo odosobniony ten frazes przeczy tak innym jego wskazówkom, jak również duchowi dzieła, tchnącego encyklopedycznością w istotnem słowa znaczeniu. Naszem zdaniem, jakaś jedna nauka dowolnie obrana musi być punktem wyjścia w samokształceniu. Ponieważ do samouctwa każdy przystępuje z pewnemi zakreślonemi już z góry zadaniami, z wytkniętym celem, zharmonizowanym z własnemi upodobaniami i pragnieniami, więc nie potrzebuje wcale zacieśniać swego widnokręgu, lecz stanowczo jak najdalej odsunąwszy się od uniwersalizmu, samouk winien oddać się studyom ulubionej jakiej gałęzi wiedzy naukowej, dążąc do światła z hasłem Kantowskiem: „*Sapere aude* — miej odwagę iść za głosem własnego rozumu.“ (D. n.).

Władysław Spasowski.

NOTATKI NAUKOWE.

Feliks Kucharzewski: *O początkach piśmiennictwa technicznego w Polsce.* Warszawa, 1900, str. 55.

W r. 1889, w warszawskiej sekcyi technicznej autor wygłosił pod powyższym tytułem odczyt, drukowany w tymże roku (maj—lipiec) w *Przeglądzie technicznym* i w osobnej odbitce. Było to szczegółowe studyum nad dziełem księdza Stanisława Solskiego, wydanem 1690 r. w Krakowie (folio, str. 200, z 38 tablicami), pod szerokim napisem: „Architekt polski, to jest nauka ulżenia wszelkich ciężarów, używania potrzebnych machin ziemnych i wodnych, stawiania ozdobnych kościołów małym kosztem, o proporcyi rzeczy wysoko stojących... o fortyfikacyi i inszych trudnościach budowniczych.“ Studyum poprzedzał wstęp, traktujący o dawniejszych, przed Solskim, drukach z zakresu umiejętności technicznych. Wiadomości o tych drukach czerpał p. Kucharzewski — jak sam to wyznaje ze skromnością i szczerością wielce u nas rzadką — „z drugiej ręki“: wynikłe stąd „braki i niedokładności“ pobudziły autora do podjęcia dalszych badań nad dawnem polskiem piśmiennictwem technicznem. Dziełko obecne jest właśnie streszczeniem tych usiłowań.

W ilościowym rozwoju naszej literatury technicznej p. Kucharzewski zaznacza dwa okresy, których granicą jest mniej więcej rok 1740. W okresie przed tą datą książki treści technicznej są rzadkością, wychodzi ich zaledwie po kilka w ciągu jednego dziesięciolecia. Dopiero po r. 1740 ruch wzmaga się i wykazuje aż do chwili obecnej nieustający wzrost ilościowy. Pierwsze próby tego piśmiennictwa u nas odnoszą się do miernictwa i były nader ubogiemi kompilacyami źródeł średniowiecznych, pisanemi po łacinie, a służącemi do wykładu geometryi praktycznej w szkołach. Polskie przeróbki i przekłady tych pierwowzorów łacińskich późno się ukazywać zaczęły. Dopiero w drugiej połowie wieku XVI spotykamy luźne wiadomości z rozmaitych sztuk, nauk i „tajemnic“ technicznych w języku „pospolitym.“ W t. zw. „Zielniku Falimirza,“ parokrotnie wydanym, opisującym ogólny sposób pędzenia wódek, znajduje się np., jako dodatek do edycyi z r. 1568, „Aleksego Pedemontana księgi siedmioro tajemnic, rozmaite nauki w sobie mające, z łacińskiego na polski język teraz nowo przełożone,“ a z nich księga siódma rozprawia „o pożytecznych sztukach rozmaitym rzemiosłom, począwszy od pisarza aż do oracza, nauki wielom skryte.“ Wnosić wolno, że traktaty miernicze Andrzeja z Łęczycy i Jana z Głogowy cieszyły się u nas pewnem powodzeniem w połowie wieku XVI, lecz rozprawy ich nie dochowały się do naszych czasów. Jak dotąd, za pierwszą książkę oryginalną, traktującą o miernictwie, a w ogólności za najpierwszą książkę techniczną polską, uważać należy dzieło Grzepskiego z r. 1566, odbite w Krakowie u Łazarza Andrysowica (ósemka mała, druk gotycki, figury w tekscie, kart nieliczbowych 64), p. t. „Geometria, to jest miernicka nauka, po polsku krótko napisana z greckich i łacińskich ksiąg...“ Druga książka, tegoż Grzepskiego, z r. 1573, nosi nazwę: „O sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybieniu stawów, także o przekopach, o ważeniu i prowadzeniu wody.“

Okres lat stu od Grzepskiego do Solskiego zaznacza się niemałym pocztem dzieł i imion, utrzymujących umiejętności techniczne u nas na tym samym niemal, co i na Zachodzie poziomie. Strumieński, Brożek, Pudłowski, Głoskowski, Kochański, Gostkowski, Zawadzki (Zawacki), Wąsowski, Stroynowski — raz po łacinie, to znów po polsku usiłują przełamać w swoich współrodakach nieudolność do rządzenia się doświadczeniem własnem, na które tak gorzko użalał się Brożek w liście do Pudłowskiego w r. 1643, powiadając, iż go „wstyd excitował,“ że się Polacy „nie uczą Gieometriey i muszą obcych zażywać i płacić im.“ O skuteczności tych usiłowań i nawoływań świadczą prace najuczeńszego z plejady dawnych naszych uczonych, ks. jezuity Solskiego (ur. w r. 1622 w Kaliszu). Imię jego zasłynęło wprawdzie po szerokim świecie przedewszystkiem jako wynalazcy machiny, wykonywać mającej „samoruch wiekuisty“ (perpetuum mobile); doświadczenia z tą machiną wykonał on w Warszawie w r. 1661, a opisał w broszurze wydanej w r. 1663 w Krakowie. Pomimo to wszakże trzy księgi najobszerniejszego dzieła Solskiego („Geometra polski, to jest nauka rysowania podziału, przemieniania i rozmierzania linij, angułów, figur i brył

pełnych"), ogłoszone w latach 1683, 1684 i 1686, tudzież wspomniany poprzednio „Architekt polski" — noszą na sobie dość jawne ślady czegoś podobnego do postępu... Solski — pisze p. Kucharzewski — stał po za obrębem ożywionego ruchu naukowego swej epoki. Pomijając już otwarte przeczenie systemowi Kopernika, widzimy u niego zupłną nieświadomość prac uczonych, którzy w w. XVII otworzyli mechanice całkiem nowe drogi: nie zna on Galileusza, Toricellego, Descartesa, a cała jego wiedza matematyczna zamyka się w ciasnym zakresie ówczesnych (jezuickich) programów szkolnych... Ale są i zasługi, są zalety cenne, głównie z punktu widzenia pedagogicznego i słownikarskiego. Jak Grzepski, przyjaciel Wuyka i Skargi, „władał znakomicie językiem polskim i napisał swe dzieło stylem jasnym, pełnym prostoty, językiem czystym," tak też i Solski, „praktyk wytrawny, zdrowo rozumiejący," jest w wykładzie „jasnym i prostym," a w wysłowieniu czystym, poprawnym.

W granicach tego założenia i tych zastrzeżeń, ogólny wniosek pracy p. Kucharzewskiego nie grzeszy przesadą. Zmuszeni warunkami zawodu (są jego słowa) do posługiwania się piśmiennictwem ostatniej doby, zbyt często pozostawiamy w niezasłużonem zapomnieniu cenne zabytki przeszłości, choć ich jawność i prostota godne są naśladowania, zawarte w nich zdrowe rady i poglądy dziś jeszcze przydać się mogą, a dla pracy nad słownictwem technicznem dawni autorowie nasi stanowią bogate źródło, dotąd należycie nie spożytkowane. *J. T. H.*

LITERATURA I SZTUKA.

Franciszek Preszern.

(Notatka jubileuszowa).

W grudniu r. b. upływa sto lat od chwili, kiedy Franciszek Preszern ujrzał światło dzienne we wsi Vrbie w Górnej Krainie. Mało kto znał biednego syna chłopskiego. Początki wykształcenia otrzymał w gimnazyum lubiańskiem. Surowy, pedantyczno - biurokratyczny system ówczesnych szkół austryackich nie zagasił w pacholęciu tlejącej iskierki, co przełamując wszelkie trudności, gorejc jasnym piękna i prawdy płomieniem, strzeżonym przez nieliczny legendowych wajdelotów zastęp. Skończywszy gimnazyum, udał się do Wiednia, gdzie na tamtejszym uniwersytecie słuchał — prawa rzymskiego. Wiekopomne Rzymu instytucye, nie zdołały jednak owładnąć o tyle umysłem młodego Słowieńca, aby w studyach tych uwięził ducha swego. Syn ludu słowieńskiego pełen uczucia, kochający swój naród i ziemię, upodobał sobie lirykę i gwoli onej serca mistrzyni, smętnymi i rzewnymi tony nastroił lutnię. Liryczny ten duszy jego nastrój nie pozwolił mu długo bawić w naddunajskiej stolicy. Zatęsknił do swoich, bo Słowianin w ojczystej jeno ziemi zakwita życiem, woniejącem byliną, oną mityczną w tradycyi rodzimej rośliną. Powrócił do Lublany i tam wydał pierwsze swoje pierwiosnki liryczne (1847 r.). Gęśl jego przypomina Bürgera, a szczególnie jego „Lenorę," dzielącą z oblubieńcem weselne łoże w zimnej mogile cmentarnej. Romantyczność tej ballady oczarowała wyobraźnię Preszerna, który przez swoją „pieśń pod oknem" stał się poetą popularnym. Stanowisko jego społeczne ze względu na pochodzenie wieśniacze, przez stosunki z wstecznemi sferami biurokracyi i zniemczałą kastą arystokracyi, niejednokrotnie bolesnym dotykały go sarkazmem. Wywołało to w nim pewną ewolucyę psychiczną. W „Percu" widnieje zwierciadło zbolałej duszy poety. Lutnia jego wydaje przyciszone kwilenie, które serce cierniem splata i w gorzkiej łez kąpie krynicy. Liryzm jego przybiera cechy elegijne: „Pora ljubczan" i „Słowa od młodości." Z elegii przechodzi poeta na pole eposu, opiewając chrzest Słowieńców w utworze p. t. „Krst." Piękna forma kwiatów jego natchnienia, mimo wzorowej nader rytmiki, nie zdołała zadowolić krytyków. Poeta biczem ostrej satyry chłoszcze złośliwych synów Zoila w wierszu p. t. „Nowa historija." Jest tam niemała doza soli atyckiej. Pominąwszy wpływ Bürgera i Blumanauera na muzę Preszerna, nie można mu odmówić, że był wieszczem nawskróś narodowym i takim aż do zgonu pozostał. Z wiarą w lepszą przyszłość Słowiańszczyzny zawarł w Kranju (Krainburg) zmartwiało na zawsze powieki (1849). W marcu r. b. odbył się w Wiedniu stuletni jego jubileusz. W obchodzie tym uczestniczyli wszyscy Słowianie, chcąc uczcić wspólnego wieszcza. Myśmy jednak świecili nieobecnością, niepomni krwi, która w żyłach naszych krąży. W ciągu dziejów naszych wysługiwaliśmy się polityce austryackiej i brandenburskiej, walcząc w cudzej sprawie to ze Szwedem, to z Turkiem, sami nie wiedząc dlaczego, bośmy nigdy nie umieli być sobą.

Justyn Feliks Gajsler.

LITERATURA WŁOSKA.

Gabriel d'Annunzio *).

Przedewszystkiem co uderza w d'Annunzio, to wielka jego młodość. Urodził się w r. 1864, ale wygląda na lat 24. Wobec zwykłego charakteru „sławy" ogólno - europejskiej sprawia to wrażenie dość dziwne: przyzwyczajeni jesteśmy do tego, iż sława przychodzi dopiero na starość. Jest to blondyn, średniego wzrostu, o manierach angielskich, który starannie wystrzega się emfazy włoskiej zarówno w rozmowie, jak i w obejściu. Pracuje raczej okresami, niż metodycznie, ale podczas pracy zamienia się na prawdziwego benedyktyna; nie odkłada pióra często w ciągu 18 godzin na dobę, w samotnym domu, na brzegu wschodniego Adryatyku, zdala od świata, wrzawy i kolei żelaznych. Uprawia namiętnie jazdę konną, wiosłowanie, co wiąże się dość logicznie z treścią gwałtowną jego książek, które pałają życiem i namiętnością.

We Włoszech istnieją wogóle dwie literatury: jedna oficyalna, naturalistyczna, realistyczna, której nikt już nie czyta, jakkolwiek wszyscy ją wychwalają, i druga nieurzędowa, którą wszyscy ignorują, przyznając zarazem po cichu, iż do niej przyszłość należy. Tą ostatnią przedstawiają romanse d'Annunzia. Gdy przetłomaczone zostały na inne języki, tylko Włosi starali się zbyć je lekceważeniem lub nawet pogardą. Sam d'Annunzio w sposób następujący objaśnia to zachowanie się swych współrodaków. „Eh, mój Boże, jest to bardzo proste! Stałem się zbyt młodo i zbyt szybko słynnym. W piętnastym roku życia byłem już krytykowany i uwielbiany. Do tego czasu legenda utworzyła się koło mego imienia. Niewielu pisarzy wywołało więcej polemik i bardziej wygórowanych. Sprawy charakteru prywatnego ożywiły jeszcze te skłonności, tak że chwilami zrywa się, jakby wicher buntu przeciw mnie w całych Włoszech. Ale to mi napełnia serce radością i dumą. Dla artysty śmiałego i upartego niema nic bardziej upajającego, niż nienawiść, nienawiść nieubłagana. Zawsze uwielbiałem i hodowałem uczucia gwałtowne. Toteż nie mogę Panu wypowiedzieć, z jaką troskliwością i rozkoszą hoduję tę nienawiść. Staram się wciąż o to, aby ją wzbudzić, ożywić, doprowadzić do szału i uczynić ją w ten sposób dzięki natężeniu piękną. W życiu tem należy upiększać nietylko własne swe uczucia, ale także i te, których jesteśmy przedmiotem. Otóż istnieje piękno w krańcowej gwałtowności, również jak i w krańcowym spokoju."

„Towarzystwo" nie chce przyznać się do czytania „Romansów róży," tj. ciała, których cykl jest zakończony. Autor przeszedł następnie do „romansów lilii" i pod tym względem niewiele się zmienił. I owszem, moralnie stał się może gorszym jeszcze. Zrozumiana w pewien sposób wstydliwość staje się najwyższem zepsuciem. Taką jest czystość tych jego romansów. Przypomina ona dziewice, w których fermentują myśli zakazane, zbrodnicze żądze, grzyby zatrute o barwach wspaniałych, olśniewających. Mówiąc o Pawle Bourget, d'Annunzio żałuje, iż artysta coraz bardziej zanika w nim wobec „filozofa." Dzieła w rodzaju „Outre-mer" przestają być utworami sztuki. Pełne informacyj ścisłych, poglądów filozoficznych, nowin i nowości, zawierają w sobie wszystko oprócz piękna. Tymczasem w dawniejszych pismach Bourgeta spotkać można było nieraz błyskawice geniusza obok subtelnej analizy i stylu, pełnego elegancyi. Obecne zaś jego romanse świadczą o obserwacyi zbyt łatwej. Dotknięcie artysty twórczego nie jest w nich dość oczywistem, a język coraz bardziej traci swe zalety. D'Annunzio stawia nader wysoko Loti'ego, a zwłaszcza jego trylogię (Pustynia, Jerozolima, Galilea), o której powiada co następuje: „Leonardo da Vinci polecał swym uczniom, by studyowali plamy wilgoci na starych murach, powiadając, iż wyobraźnia znajdowała w kaprysach pleśni zadziwiające motywy ornamentacyi, wizerunki bohaterskie walki centaurów i amazonek bojowych. Na wzór plam wilgotnych „Pustynia" i „Galilea" wydają się być zrobione z niczego; myśl nigdy ich nie obarcza. Po co? Pełne rzeczy wypowiedzianych zaledwie i to bardziej za pomocą domysłów, niż słów, zawierają w sobie, mówiąc bez paradoksów, dla tych co je odczuwają, nieskończoność myśli religijnej i całą duszę pustyni Galilejskiej." Wogóle sympatye d'Annunzia zwracają się ku czystym artystom, tym, co mają poczucie i wizyę oryginalną piękna, jak Anatol France. Natomiast nie cierpi naturalistów. Nie był w stanie przeczytać ani jednego romansu Zoli: są to dzieła bezkształtne, pozbawione wszelkiego smaku estetycznego, pełne szczegółów i pomysłów wulgarnych.

Współczesna literatura włoska posiada wielu pisarzy zwracających uwagę, jak Fogazzaro swym niepokojem moralnym, jak Carducci swą doskonałością klasyczną, jak Verga — potęgą, lub pani Serao — obfitością. Nie są to jednak siły nieprzeparte, gwałtem narzucające swe panowanie.

D'Annunzio, kosmopolita — ducha i wychowania, należy do wszystkich czasów i do wszystkich krajów, zachowuje tylko pewien egzotyzm powierzchowny Włocha, co go czyni tylko bardziej jeszcze czarującym. Podczas gdy nad Europą całą zawisły mgły literatur północnych, rosyjskiej i skandynawskiej, pojawił się ten młodzieniec, trzymający w ręku róże koloru ciała, lilie koloru marzenia i granaty koloru krwi, jako głosiciel nowego odrodzenia Włoch. Niektórzy zarzucają mu wprawdzie plagiat.

Nowele d'Annunzia przypominają Flauberta i Maupassanta, „Romanse róży" Bourgeta i pisarzów rosyjskich; „Roman-

*) Tissot: *Les sept plaies et les sept beautés de l'Italie contemporaine*, 1900.

se lilii" — Tennysona i prerafaelitów angielskich. Tak „Intruz" naśladuje „Zbrodnię i karę" Dostojewskiego, a „Dziewice skał" pisane są na wzór słynnych płócien Rossettiego i Burne Jonesa. Pomimo to jednak samodzielność d'Annunzia jest niewątpliwą. W jednym z swych wstępów powiada on: „Odnawiać się lub umrzeć!" Wzorem W. Hugo stara się być „w środku wszystkiego, jako echo dźwięczne": w środku nowożytnej sztuki, a także myśli współczesnej. Stąd to pochodzi, iż naśladował wiele książek i wiele obrazów, lub powtórzył wiele cudzych teoryj. Naprzód od Renana zapożyczył dyletantyzm i intelektualizm „Rozkoszy" („Piacere"), następnie od Schopenhauera teoryę nienawiści płci, stanowiącą treść „Tryumfu śmierci," wreszcie od Nietzschego — doktrynę „Nadczłowieka," leżącą u podstawy „Romansów lilii." Łatwość, z jaką d'Annunzio zmienia w każdym nowym tomie swe sposoby pisania i swe myśli, spowodowała też, iż ogłoszono go naprzód za dekadenta, później za poganina z Renaissance'u, wreszcie za katolickiego moralistę.

Wszystko to dowodzi jednak tylko, iż d'Annunzio jest „echem dźwięcznem," albo też aktorem, który wkładając na siebie różne ubiory, wyraża myśli i uczucia najsprzeczniejsze. Dla wyrażenia życia brutalnego wsi zapożyczył od Flauberta jego języka zwięzłego i gwałtownego. Dla oddania dyletantyzmu wielkoświatowego wziął od Bourgeta jego wdzięk zmanierowany, chłód i elegancyę. Ale również, jak genialni aktorowie odtwarzają każdy według własnej swej natury dzieła wielkich dramaturgów (jaka różnica np. istnieje między *Hamletem* Mouneta - Sully, a Irwingal), d'Annunzio przetwarza według praw swego umysłu cudze teorye i formy artystyczne. A zatem, czy naśladuje Bourgeta, czy Tołstoja, czy Tennysona, zawsze odnajdujemy w gruncie d'Annunzia. W każdym razie, jeżeli myśli i wykonanie często są zapożyczone, to temperament autora na wszystkiem pozostawia swoje odbicie i on to głównie stanowi ich oryginalność. W tym temperamencie artystycznym dwa rysy przeważają: potęga tragizmu i poczucie piękna. D'Annunzio przedstawia gwałtowne wybuchy namiętności z prawdziwem mistrzowstwem, które niema w sobie nic z krasomówstwa. Umie on udzielać czytelnikowi swe wzruszenia, dochodzące do niesłychanego napięcia. Literatura współczesna nie zawiera obrazów bardziej poetycznych, niż samobójstwo kochanków z „Tryumfu śmierci," ani też bardziej fantastycznych, niż wstęp do „Vergini della Rocce." Nigdy Rossetti ani Burne Jones nie wywoływali kobiet bardziej idealnych, niż te trzy księżniczki o rękach liliowych. Jego ozdoby salonów przypominają malowidła Pawła Weroneczyka, a widoki Abruzzów—panteizm niezmierzony poezyi indyjskiej. Sceny najgwałtowniejszej namiętności nie są u niego nigdy odrażające, albowiem nawet w występku i zbrodni d'Annunzio zachowuje poczucie i szacunek piękna, którego atmosferą otacza wszystkich swych bohaterów. Życie powszednie pod jego czarodziejskimi palcami zamienia się na sen jakiś złoty. Zawsze, bez wysiłku, wyraża to, co chce wyrazić. Ale w scenach namiętności przekracza granice możliwości. W porównaniu z jego powieściami inne romanse miłosne wydają się blade i nudne. Ze strun namiętności wydobył akordy najwyższe. Albowiem nowa jego powieść, „Fuoco," świadczy o takiem znużeniu autora, iż ten tryumfator wzbudza w czytelniku prawie uczucie litości. Zdaje się, iż widzimy wszystkie jego nerwy naprężone aż do pęknięcia, iż mamy przed sobą automat, którego sprężyny na jaw występują. Przykre wrażenie sprawia ten krzyk opętanego, który za wszelką cenę chciałby przekroczyć granice naturalne namiętności i wydobyć z siebie coś niesłychanego. Niestety, gama tonów, które d'Annunzio zatrąca, jest ściśle określona i wszystko, co w dziedzinie miłości i ambicyi powiedzianem być może, już wypowiedział, musi więc się powtarzać i wygórowywać chorobliwie swe wzruszenia. Czuje to widocznie i sam autor, nazywając nowego bohatera „Effreno," „Wyuzdany." W sztuce pomiatania ludźmi i pogardy doszedł tak daleko, iż dalej iść nie można. Effreno już tylko zgrzyta i pieni się, jak szalony. W sztuce miłości skazany jest na snucie kilku intryg naraz, co jedynie dostrojonem jest do chorobliwego napięcia jego nerwów: uczucia delikatne i tkliwe dawno już opuściły go i pierzchły.

Wprawdzie już w „Rozkoszy" bohater d'Annunzia prowadzi równolegle kilka przygód miłosnych, tam jednak wszystkie wybryki ratowała młodość i jakaś genialna lekkość. Obecnie zaś mamy do czynienia ze schorowanym neurastenikiem, który gwałtem, sztucznie, chce doprowadzić się do dawnego dyapazonu wzruszeń, a nawet przewyższyć go, składając liczne ofiary na ołtarzach Wenery. Wzruszenia zaś te jeszcze bardziej go osłabiają.

Proszę jednak nie wnosić stąd o upadku talentu d'Annunzia. I owszem, należy mu to uznać za zasługę, iż, nie tając prawdy, przedstawia naturalny rozwój psychiczny współczesnego Don Juana: maluje go nam obecnie w fazie, gdy coraz bardziej się staje ruiną, spaloną namiętnością i ambicyą. Jeżeli Don Juan w 25 roku życia był pysznym, to w 36-ym strasznym, ponurym. A jeżeli dawna, genialna lekkość opuszcza potrochu d'Annunzia i obecnie czuć się daje pewien wysiłek w pisaniu, to może tylko przyczynia się do naturalniejszego oddania wizerunku bohatera. Jeżeli wreszcie to „ja" autora, wyrosłe do rozmiarów iście potwornych — tak iż czujemy, że o niczem innem, prócz siebie, mówić nie umie — mamy i w tem tylko rozwój normalny danego typu. A jakie nieszczęśliwe są te kobiety, na których on robi swe eksperymenty uczuciowe. I ta przestarzała Foscarina, w której krytyka włoska każe nam upatrywać Eleonorę Duse i którą autor w całem obnażeniu jej przeszłości przed publiczność wyprowadza. I ta czysta gołębica, Donatella, którą autor wyprowadza jako antytezę tamtej. Złośliwa pamięć przypomina mi jednak inną powieść, Leona Daudeta, „Ombre et lumiere," w której także sama antyteza miłosna na tle weneckiem się rozgrywa. D'Annunzio swoim zwyczajem miał więc i tu wzór do naśladowania...

Czyż należy dodawać, iż tło akcyi, zepsuta, konająca w agonii słonecznej Wenecya, oddana została po mistrzowsku? Wogóle szczegóły wykonania przewyższają, być może, pod względem artyzmu, w tej ostatniej powieści wszystko, co d'Annunzio dotychczas napisał. Jest to przepych olśniewający.

Dr. L. Winiarski.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZESILENIE EKONOMICZNE.

I.

Siła rozszerzalności wielkiego przemysłu, wobec której siła rozszerzalności gazów jest igraszką, przejawia się jako *potrzeba rozszerzania* jakościowa i ilościowa, pokonywająca wszelkie przeciwdziałania. To ostatnie występuje w spożyciu, w odbycie, na rynku wytworów przemysłu wielkiego. Lecz rozszerzalność rynków, ekstensywna i intensywna, jest uwarunkowana innemi, daleko mniej energicznie działającemi prawami. Rozszerzanie rynków zbytu nie może dotrzymać kroku rozwojowi produkcyi. Walka staje się nieuniknioną, a ponieważ nie może nastąpić rozwiązanie, dopóki nie zostanie zniesiony sam system produkcyi kapitalistycznej, walka staje się peryodyczną. Produkcya kapitalistyczna sprowadza nowe *circulus vitiosus.*

„W rzeczy samej; od r. 1825, kiedy wybuchł pierwszy kryzys powszechny, cały świat przemysłowy i handlowy, produkcya i wymiana wszystkich krajów cywilizowanych, blizko co lat dziesięć „wykoleja się." Obieg zostaje zatamowany, rynki są przepełnione, towary nie znajdują spożywcy, gotówka ginie, kredyt zanika, fabryki stają, masy robotnicze cierpią niedostatek, gdyż wytworzyły zbyt dużo przedmiotów spożycia, bankructwo idzie za bankructwem. Lata całe trwa stagnacya, siły produkcyjne i produkty idą na marne, dopóki nagromadzone masy towarów po większej lub mniejszej utracie wartości zostają nakoniec usunięte, dopóki produkcya i zamiana nie będą znów wprawione w ruch. Stopniowo wzrasta tętno ruchu, przechodzi ono w kłus, dalej w galop, a ten wzrasta do nieokiełznanego przemysłowego, handlowego, kredytowego i spekulacyjnego *steeple-chase*, aż wreszcie po karkołomnych skokach zatrzymuje się — w rowie... „krachu." I tak zawsze w kółko. Od roku 1825 przeżyliśmy to już pięć razy, a w tej chwili (1877) przeżywamy raz szósty."

Ta lapidarna teorya przesileń ekonomicznych, zawarta w znanej książce Engelsa, poświęconej Dühringowi, do dziś dnia nie straciła nic na świeżości i trafności. Zmieniły się to lub owe szczegóły, cykle dziesięcioletnie skurczyły się, zmieniła się nieco rola kredytu, powstał nowy czynnik w stowarzyszeniach przedsiębiorców, kartelach i syndykatach, lecz ogólna charakterystyka zjawiska może być zastosowaną dziś jeszcze do przesilenia, którego początek zarysowuje się w chwili obecnej na widnokręgu ekonomicznym.

W r. 1894 zaczyna się powoli ożywianie interesów kapitalistycznych na całej linii. Przyczyny, które spowodowały wtedy zmianę konjunktury, są wielorakie i skomplikowane. Przedewszystkiem widzimy w latach poprzedzających stale zniżające się ceny towarów na rynku wszechświatowym; oznaczało to usuwanie towarów pozostałych na składach. Jako drugą przyczynę należy uważać odkrycie nowych rynków. Rynkami takimi były Azya, Afryka, Ameryka południowa, poniekąd Rosya. W Azyi najgłówniejszymi rynkami na towary europejskie stały się Japonia i Chiny. Pierwsze z tych państw od lat już kilkunastu stoi otworem dla handlu europejskiego, lecz dopiero w ostatnim dziesięcioleciu począł się tu rozwijać żywy, napięty ruch przemysłowy. Japonia przechodzi obecnie epokę „gründerstwa" i stąd olbrzymie zapotrzebowanie maszyn i półfabrykatów, których poczęły dostarczać Anglia, Niemcy i Stany Zjednoczone. Ożywienie handlu z Chinami datuje się dopiero od wojny z Japonią, jest skutkiem otwarcia dla handlu międzynarodowego całego szeregu portów chińskich i zezwolenia na zakładanie fabryk w miastach portowych; dopiero po wojnie rząd chiński zniósł zakaz przywozu maszyn. Wszystkie te ustępstwa były podyktowane Chińczykom przez zwycięzcę: traktat pokoju gwarantuje takie warunki tylko Japończykom; jednakże pod presyą dyplomatyczną te same warunki zostały przyznane wszystkim mocarstwom europejskim. Lecz nietylko na dalekim Wschodzie azyatyckim zdołano pozyskać rynek zbytu: Azya Mniejsza, Persya, Azya środkowa w ostatnich latach zostały wciągnięte w wir obiegu kapitalistycznego. W Afryce zaró-

wno w posiadłościach angielskich, jak niemieckich i francuskich, dopiero około r. 1900 zaczyna się gorączkowa eksploatacya plantacyj, a zarazem budowa dróg żelaznych, podczas gdy do tego czasu Europejczycy dążyli jedynie do ogołocenia tych krajów z bogactw naturalnych (złoto, kość słoniowa, pióra strusie itp.). Zakładanie zaś plantacyj wytworzyło zarazem popyt na towary europejskie: na maszyny, narzędzia rolnicze, blachę i żelazo, żywność dla Europejczyków, sprowadzonych do tych plantacyj. Jednakże zarówno w Azyi, jak w Afryce zbyt towarów bezpośredniego użycia jest tak nieznaczny, że rynki te nie mogły wywrzeć prawie żadnego wpływu na produkcyę krajów kapitalistycznych. Daleko ważniejszem jest, że kraje te stały się miejscem lokaty kapitałów, przedewszystkiem w budowie dróg żelaznych. Niejedna z tych dróg egzotycznych z czysto finansowego punktu widzenia przedstawia się zgoła niekorzystnie, gdyż niema najmniejszego widoku na zysk z eksploatacyi (np. droga wybudowana w celach strategicznych wzdłuż Nilu), w niektórych znów razach budowa drogi rzeczywiście wytworzy kiedyś, po dziesiątkach lat, na danem terytoryum, rynek kapitalistyczny (np. drogi wybudowane we wschodnio-afrykańskich koloniach, w Algierze). Dziś nie chodzi bynajmniej o zysk bezpośredni, lecz pokup na szyny i wagony i o zyski banków, które podejmują się emisyi pożyczek, zaciąganych na budowę tych dróg. Częstokroć zachodzą tu nader skomplikowane i dziwaczne na pierwszy rzut oka kombinacye finansowe. Tak np. wysilono się na fortele dyplomatyczne, by skłonić rząd turecki do udzielenia koncesyi na budowę dróg w Azyi mniejszej; drogi zostały wybudowane, lecz nie przynoszą dochodów, odsetki zaś od kapitałów wypłaca rząd turecki, lecz Turcya nie byłaby zgoła w stanie opłacać tych setek tysięcy z własnych dochodów państwowych, jakie zaciąga u finansistów europejskich, nieraz tych samych, którzy uzyskali koncesyę na budowę dróg. W ten więc sposób odsetki od kapitałów ulokowanych w przedsiębiorstwie kolejowem, płaci ostatecznie kapitalista sam sobie, a cała operacya polega jedynie na tem, że Turcya jest zmuszoną płacić odsetki od pożyczek wyższe po nad normę europejską i na zyskach, jakie ciągną banki emisyjne, które to zyski płyną z kieszeni drobnych spekulantów europejskich, nabywających papiery tureckie. Ostatecznie wszelako owo wtargnięcie kapitalizmu do Afryki i Azyi na razie musiało pobudzić ożywienie obiegu pieniężnego i dało zatrudnienie popierwsze fabrykom zajętym bezpośrednio dostawą dla owych przedsiębiorstw egzytycznych; powtóre — przedsiębiorstwom zajętym transportem zamorskim; potrzecie znów— fabrykom, które dostarczały okrętów dla tych przedsiębiorstw transportowych. Te przedsiębiorstwa transportowe odgrywają wogóle znaczną rolę w rozwoju kapitalistycznym ostatnich czasów. Jeden np. z takich lewiatanów kapitalistycznych, „Hambursko - Amerykańskie Towarzystwo przewozowe,“ w r. 1890 posiadało 41 statków parowych o objętości 123 tys. ton, wartości 37 mil. marek, w roku zaś 1898 — 78 statków o objętości 515 tys. ton, wartości 85 mil. m. Charakterystycznem zaś jest to, że prawie we wszystkich państwach takie przedsiębiorstwa transportu morskiego są popierane bezpośrednio przez rządy, które płacą im milionowe subsydya, w zamian za urządzenie stałej komunikacyi pomiędzy metropolią i koloniami, a po części też subsydya na budowę okrętów, byleby te odpowiadały pewnym warunkom strategicznym (pod względem budowy i szybkości).

Te zasiłki, zarówno jak rozmaite gwarancye zysków kolonialnych dróg żelaznych są czerpane ostatecznie z funduszów państwowych, z sum składanych w podatkach przez ludność Europy. Jest to wogóle cechą charakterystyczną obecnej fazy rozwoju kapitalistycznego, że wszystkie dążenia kapitału do owładnięcia krajami egzotycznymi odbywają się przy bardzo poważnym udziale państwa. We wszystkich bowiem państwach Europy zachodniej wydatki na administracyę kolonij, utrzymanie w nich siły zbrojnej, oraz wydatki na marynarkę, czynione celem ich obrony, nietylko przewyższają zyski, jakie przynosi handel kolonialny, lecz przewyższają sumę wywozu i przywozu wogóle. Inaczej mówiąc, ludność państw ponosi wydatki milionowe na kolonie po to tylko, aby umożliwić pewnej liczbie kapitalistów prowadzenie interesów w koloniach, zyski zaś na tych interesach są mniejsze, niż owe wydatki. Ostatecznie więc tryumfy kapitalizmu, zagnieżdżenie się jego w krajach egzotycznych, odbywa się kosztem obciążania ludności Europy coraz nowymi ciężarami, i społecznie rzecz biorąc. ten rozkwit jest bezwarunkowo stratą dla Europy. Aliści dla kapitału prywatnego jest on nader zyskowną operacyą i przyczynił się do tego bujnego rozwoju kapitalistycznego, jaki trwał w ostatnich latach.

Jednym z dalszych czynników, powodujących ożywienie konjunktury, było olbrzymie zapotrzebowanie towarów europejskich w Stanach Zjednoczonych. Rzeczpospolita amerykańska przeistacza się obecnie z kraju przeważnie rolniczego na *par excellence* przemysłowy. Mieliśmy sposobność zwrócić uwagę czytelników *Prawdy* na ten proces ciekawy, odbywający się ze znaną „amerykańską szybkością.“ W ostatnich trzech latach wywóz fabrykatów przewyższa już przywóz i Stany stają się groźnym współzawodnikiem Europy na polu przemysłowem. Nie przeszkadza to wszelako, że były one w ostatniem pięcioleciu bardzo poważnym odbiorcą dla przemysłu europejskiego, gdyż właśnie w miarę rozwoju kapitalistycznego ożywia się wymiana towarów (Anglia i Niemcy np. bez względu na swoje współzawodnictwo, są wzajem dla siebie najpoważniejszymi odbiorcami). W r. 1894 Stany przechodziły ciężkie przesilenie ekonomiczne, lecz, jak dotąd, przesilenia zostawały tam pokonywane z łatwością i doprowadzały do bardziej jeszcze intensywniejszego rozpędu fabrycznego. W latach ostatnich przyczyniła się jeszcze do rozwoju zwycięzka wojna z Hiszpanią. Charakterystycznem jest przytem, że nawet w tej olbrzymiej rzeczypospolitej, gdzie, zdawałoby się, jest możliwy nieograniczony prawie rozwój kapitalistyczny na własnem terytoryum, dążność ekspansywna występuje z całą jaskrawością. Kapitały amerykańskie rzuciły się nietylko do eksploatacyi bogactw zdobytej na Hiszpanach Kuby, gdzie zaraz po okupacyi zapanował ruch gorączkowy w przemyśle kopalnianym, budowie dróg i uprawie plantacyj, lecz w ostatnich latach biorą one udział w przedsiębiorstwach chińskich i japońskich, a przedewszystkiem wtargnęły do Ameryki środkowej i południowej. W Meksyku, w Peru, Chili, Argentynie i Brazylii powstają plantacye, przedsiębiorstwa kopalniane, towarzystwa transportowe, popierane przez kapitały amerykańskie i dziś słusznie mówi się o „podboju pokojowym“ całego nowego lądu przez kapitał amerykański.

W Rosyi zawarcie traktatu handlowego z Niemcami w r. 1894 przyczyniło się do znacznego ożywienia handlowego. Reforma monetarna i nader ożywiona budowa dróg żelaznych przyczyniły się do szybkiego rozwoju premysłowego, którego nie powstrzymały nawet klęski nieurodzaju. Jeżeli do niedawna jeszcze znajdowała licznych obrońców teza znanego publicysty rosyjskiego, ukrywającego się pod pseudonimem „Mikołaj .. On,“ opiewająca, że stan przemysłu rosyjskiego zależy ściśle i bezpośrednio od urodzaju pól, to lata ostatnie wykazały, że Rosya została już dziś wciągniętą w wir kapitalistyczny, że położenie przemysłu i handlu w Rosyi jest pośrednio zależnem od położenia rzeczy na wielkim międzynarodowym rynku towarowym i pieniężnym. To też od czasu, kiedy na giełdach Europy zachodniej zapanowało ożywienie wskutek pomyślnego położenia w przemyśle i handlu, napłynęły do Rosyi w stopniu dotąd niebywałym kapitały zagraniczne. Obfite zaś zyski, zdobywane przez kapitalistów francuskich, belgijskich, angielskich z owych przedsiębiorstw, zyski wynoszące w sumie setki milionów rubli, oraz zyski pobierane wskutek obrotów czysto finansowych, jak sprzedaż akcyj, które szybko szły w górę,—przyczyniły się z kolei do ożywienia spekulacyi, do ułatwienia kredytu, do pochopności zakładania nowych przedsiębiorstw we Francyi, Belgii i Anglii.

Tak więc przemysł Europy zachodniej znalazł nowe rynki zbytu, kapitał znajdował nowe, nader korzystne miejsce lokaty, nowe źródła zdobywania nadwartości.

Dodajmy do tego niebywały rozwój produkcyi kruszców szlachetnych, a przedewszystkiem złota. Produkcya ta przedstawiała wartość w 1899 r. 630 milionów fr., w r. 1894 — 921 milionów, w r. 1889 — *1,611 milionów.* Złoto to, wstępując w obieg, musiało wywołać pomnożenie środków obiegowych, a tem samem stanowi pewien bodziec do rozszerzania produkcyi, znaczne zaś zyski, pochodzące z tej gałęzi produkcyi, szukały nowej lokaty, a nareszcie produkcya ta sprawiła, że kraje, posiadające kopalnie złota, jak Transwal i Australia, stawały się poważnymi bardzo rynkami dla towarów europejskich. Było więc tym razem sporo pobudek, podżegających produkcyę, a przedewszystkiem spekulacyę, i na rynku przemysłowym lekki kłus z r. 1894 przeszedł niebawem w galop, a rok miniony widział tak szalone przemysłowe *steepls chase*, jakiego bodaj że nigdy jeszcze nie zaznał świat kapitalistyczny.

Dr. J. B. Marchlewski.

Luźne wrażenia z prowincyi.

Kto z życia codziennego chwyta szmery subtelniejsze od obiadowych, temu przyjazd z Warszawy na prowincyę nastręczy wiele wrażeń.

Miasto prowincyonalne! Dziura, w której cywilizacya, a na jej czele kłamliwe doniesienia *Kuryerów* spóźniają się o jeden, czasem o dwa dni; miejscowość, której powietrze stanowią plotki, gromadzące się w pewnych odstępach czasu w całe huragany; ustronie, w którem troskliwie hodowany i nietykalny przechadza się przesąd; jednem słowem, dziura, słusznie tak zwana dla swej pustki.

Człowiek, mający obecnie trzydzieści lat, od dziecka spotykał się z dwoma objawami, dotyczącymi stosunku Warszawy do prowincyi: oto prowincya marzy o Warszawie, jako o szczycie karyery i szczęścia wogóle, a Warszawa lituje się nad nią i z dyskrecyą światowca dopytuje się, jakim jest adres i jakiemi marzenia tej niezmordowanej wielbicielki W rezultacie, ludzie z prowincyi zbierają manatki i spieszą do gotowego raju, nie mogąc się doczekać flanców do własnego, a Warszawa woli ustawicznie dopytywać się, niż zjechać na grunt i uczucia zaściankowe zbadać.

Należałoby w tym nieokreślonym stosunku cośkolwiek zdecydować. Pominąwszy, jako bezowocną, kwestyę, czy Warszawa jest drugim Paryżem w miniaturze, czy nie, stwierdzić należy fakt niezbity, że prowincya ludzi potrzebuje. Ludzie ci niekoniecznie powinni przejść przez życie warszawskie, gdyż najlepsza szkoła

działalności tam się znajduje, gdzie ma miejsce działalność. Konie tramwajowe z Warszawy są kupowane na wieś i pracują w fornalce, ale nie mogłyby ciągnąć tramwaju np. w Hrubieszowie lub Łęcznie, gdyż ta specyalność wyciągnęła z nich wszystko, co było można, w Warszawie. Nie należy więc w niej długo pracować, ażeby na prowincyi pożytek społeczeństwu przynieść. Przeciwnie, owo tak zwane wyrobienie warszawskie tworzy na prowincyi dziwolągi w rodzaju wozów drabiniastych z kołami od rowerów. Nie zastanawiamy się nigdy nad tem, dlaczego na prowincyi posiadamy nadzwyczaj niewiele jednostek znanych ze swej działalności. Pochodzi to stąd, że ludzie energiczniejsi, zdjęci z szyn warszawskich, nie mogą chodzić po obcym torze i marnieją w fornalce powszedniej. A przecież w dziurze prowincyonalnej spotkałem się ze zdaniem, że się o Obłągórku za wiele pisze, że telegramy *Kuryera warszawskiego* są teraz bezmyślne i mają więcej do powiedzenia o anarchistach, niż policya włoska. Na prowincyi bowiem nie brak ludzi, którzy dużo widzieli i wiele umieją, lecz stoją oni wobec Warszawy, jak niezapisani do głosu mówcy. Wynika stąd dziwne nieporozumienie: oni czekają na udzielenie głosu, którego im Warszawa nigdy nie udzieli, gdyż sama ustawicznie mówi. Wszystko więc polega na odwadze zaczęcia rozmowy na drugim końcu stołu. Prócz tego należy posiadać jedwabniczą zdolność snucia z siebie kwestyj społecznych na liściach morw prowincyonalnych. Wszystko, o czem się w Warszawie sto razy mówiło, co nudzi wreszcie i denerwuje, jako zagadnienie teoretyczne, na prowincyi może się narzucić w postaci całego szeregu czynów określonych. Warszawskie duchowieństwo np. małą odgrywę rolę w postępie, tymczasem na prowincyi ksiądz z natury rzeczy wywiera ogromny wpływ na bieg życia. Czytelnictwo w Warszawie należy do kwestyj rozstrzygniętych oddawna w zasadzie, lecz na prowincyi wymaga ponownych dyskusyj. Warszawa jest wyrazem energii 600,000 mieszkańców, a mianowicie: 6,000 kamieniczników, 2,000 studentów, 4,000 uczniów, kilkudziesięciu tysięcy robotników, trzydziestu kilku tysięcy prostytutek, kilkuset fabrykantów itd. Żadna grupa z tego obrazu nie była modelowaną na prowincyi, gdyż nawet bezrolny Wojtek z pierwszej lepszej Wólki przeistacza się na trotuarach ulicy Żelaznej lub Solca.

Nasuwa się z tego powodu druga konieczność, a mianowicie, że ludziom, ktorzy stale mieszkają na prowincyi, należy wytknąć materyał do dyskusyi nad sprawami miejscowemi, należy więc te sprawy obwołać. Decentralizacya działalności wydawniczej staje się wobec tego konieczną. Obniżyłaby ona cenę książek, zdjęłaby z nich plombę osobliwości i zbytku i dałaby wyraz potrzebom kraju całego. A kraj ten jest zbyt jednostajnym co do swych urządzeń, ażeby jeden hałaśliwy typ Warszawiaka reprezentował samotnie śpiących na prowincyi współwyznawców. Co do plotek prowincyonalnych, te z wielką łatwością rozstąpią się przed zagadnieniami społecznemi, gdyż plotek po prowincyi daleko mniej krąży, niż w Warszawie.

Tadeusz Ulanowski.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne Z powodu wszczętej niedawno sprawy prywatnej, senat rządzący — jak donosi korespondent petersburski *War. Dniew.* — wyjaśnił, iż wydane w d. 14 grudnia 1865 r. prawo, którego mocą wzbroniono jest nabywanie ziemi w kraju zachodnim osobom pochodzenia polskiego tyczy się wyłącznie obywateli ziemskich (*pomieszczików*), nie zaś miejscowych włościan katolików, przytem świadectwa wydawane przez gubernatorów, a stwierdzające zdolność prawną danej osoby do zawierania aktu kupna ziemi w danej gubernii, nie mogą się tyczyć tylko jakiegoś majątku o takiej a takiej rozległości, lecz dają prawo posiadaczowi do nabywania ziemi w obrębie całej gubernii, na którą są wydane, przytem w ilości dowolnej, nieograniczonej.

— D. 4 i 5 września odbył się synod pastorów ewang.-augsburskich Król. Polskiego. Poprzedziło narady synodalne uroczyste nabożeństwo, pierwszy raz urządzone w jęz. polskim za uchwałą generalnego zebrania tegoż kościoła, które przekonawszy się o istnieniu w Warszawie większej ilości Polaków w swej gminie, aniżeli Niemców, spełniło niezbędną myśl, częstokroć słyszaną na szpaltach *Zwiastuna Ewangel.*, aby język polski wobec obcoplemiennego nie był traktowany po macoszemu. Język niemiecki na dorocznych nabożeństwach był używany w naszym kraju od czasu „Reformacyi,“ o czem można się przekonać z kronik kościelnych, kolegialnych i synodalnych. O godz. 11 przed poł. wygłosił kazanie wielki protestancki mówca, Angersztejn z Łodzi, który pierwszy w swym zborze wprowadził w użycie na stałe język polski. Następnie o g. 3 pp. nastąpiły narady, rozpoczęte odczytaniem sprawozdań synodalnych za rok ubiegły przez generał. superintendenta Gust. Manitiusa, a przewodniczył im prezes konsystorza Generał Burmon. Past. Bursche mówił o misyi w Transwalu i śród Żydów. W Transwalu w obwodzie Pretorin utrzymywaną jest przez ewangelików z Król. Polsk. osobna stacya „Polonia,“ na którą zebrano 16,000 rb. Co do działalności tej misyi nic nie wiadomo, gdyż wszystkie wiadomości piśmienne przechodzą przez ręce nieuniknionej kontroli angielskiej. Misya żydowska dała nader niewielki rezultat. Następnie past. Lemon z Ozorkowa oświadczył, że samobójcom winni pastorowie stanowczo odmawiać pogrzebu. Większość nie zgodziła się na to, dowodząc, że przyczyną samobójstwa nie zawsze bywa wiara kompletna w nirwanę, lecz najczęściej silny rozstrój umysłu, bezprzytomna i dziwna rozpacz, lub inny nienormalny stan zmysłów, czego nie można zbadać istotnie, ani duchownemu, ani też uczonemu i światłemu lekarzowi. Poruszano sprawy stowarzyszeń misyjnych w Lipsku, gdzie powołanym został polski pastor, Julj. Bursche, domu miłosierdzia w Wiskitkach, gdzie nędzy tamtejszej ulżono przez ofiarę 10,000 rb.; utworzenia przytułku dla epileptyków, ochrony w Pabjanicach, a wreszcie zajmowano się programem nauki religii ew.-augsb. w zakładach naukowych, szczególnie niższych. Pastor z Węgrowa (najstarszy polsko-ewangel. zbor. w kraju), K. Krote, domagał się w czasie 250-letniego (niedawno) jubileuszu odrestaurowania historycznego kościółka z czasów Bogusława Radziwiłła. *(Ch.)*.

— Na ostatniem kongresie związków zawodowych angielskich (p. numer 37) w toku dyskusyi zażądano ustanowienia sądów rozjemczych w sprawach sporów o wysokość komornego z właścicielami domów oraz prawodawstwa, karzącego właścicieli mieszkań niezdrowych. — Obecni tamże przedstawiciele związku krawców żydowskich domagali się, aby w ich dzielnicach ustanowiono inspektorów fabrycznych rozumiejących gwarę Żydów, pochodzących z Polski i Rosyi (żargon). Wnioski te przeszły. W obradach brały udział dwie kobiety, przedstawicielka kobiet introligatorek (panna Whyte) domagała się, aby „kobietom nie wolno było pracować w zawodach, wymagających siły mięśniowej, a przeciwnie należy dopuszczać je tam wszędzie, gdzie praca jest łatwa. O ile kobiety zaczynają pracować w gałęzi dotychczas obsługiwanej tylko przez mężczyzn, podnosi się wnet hałas, że wydzierają one chleb mężczyznom, a pracodawcy grozi strejk, o ile nie usunie kobiet z fabryki. Jest to niesprawiedliwie. Z drugiej strony w wielu zawodach praca przypadająca w udziale kobietom wykonywana jest przez mężczyzn.“

— Na Pomorzu, w Greifswaldzie, odbyło się niedawno zebranie hakatystów. Mowę programową wygłosił profesor teologii miejscowego uniwersytetu, Letzius. Oto próbka tych, nawet, jak na „szczerość“ hakatystów, niezwykłych słów. „Przeciwko Polakom należy używać najsurowszych środków; trzeba odwoływać się do zdrowego egoizmu własnego, do niesprawiedliwości moralnej, a nawet do uregulowanego etycznie barbarzyństwa.“ Następnie mówca radził za pomocą zwyczajnego zakazu policyjnego znieść prasę polską, rozwiązać stowarzyszenia i nadać konstytucyi taki charakter, aby Polacy spadli do stanowiska „helotów.“ Można im pozostawić trzy tylko obowiązki: „Steuern zahlen, Kriegsdienste leisten und das Maul halten“ (płacić podatki, służyć w wojsku i — milczeć). Na zebraniu nikt nie protestował przeciwko tej wściekliznie — profesora teologii „chrześciańskiej.“

Szkoły. *Siew. Kuryer* podaje ciekawe dane, dotyczące szkolnictwa w Austryi, ze specyalnem uwzględnieniem ludności słowiańskiej. Na podstawie danych urzędowych okazuje się, iż z pośród 3,872,965 dzieci 392,873, tj. dziesiąta część ogólnej liczby nie uczęszczała zupełnie do szkoły, przyczem znaczna część nieuczęszczających przypada na Galicyę. Z dzieci czeskich nie chodziło do szkoły 873, na Szląsku 613, w Galicyi 319,797.

Ruch kobiecy. W tow farmaceutycznem amerykańskiem kobieta, pani Josie Wanous z Minneapolis, została obrana na III-go wiceprezesa.

— W Monachium wiele bardzo kobiet pracuje w charakterze „dependentek“ po kancelaryach adwokatów. Obecnie zawiązały one stowarzyszenie, mające na celu kształcenie zawodowe, pośrednictwo w pracy i rozrywki.

— W Bostonie założono przed trzema laty szkołę gospodarstwa domowego z dwoma oddziałami, dla służących i dla pań. Ten drugi oddział cieszy się specyalnie znacznem powodzeniem. W ostatnim roku urządzono tam 12-tygodniowy kurs dla studentek, który liczył 50—60 słuchaczek. Wiek przeciętny wynosił 25 lat, większość przed 2 i 4 laty ukończyła studya uniwersyteckie. Obecnie dyrekcya, ulegając życzeniom publiczności, rozszerzyła program, który obejmuje: socyologię domową, ekonomię domową, bakteryologię, hygienę, budownictwo, urządzenie domu, prowadzenie domu itd. Czyby nie warto było pomyśleć o założeniu takiej szkoły u nas?

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum zatwierdziło ustawę stowarzyszenia spożywczego urzędników magistratu w Warszawie.

— W r. 1903 upływa termin traktatu handlowego, zawartego pomiędzy Rosyą a Niemcami. Z tego względu do tutejszego komitetu giełdowego zaczęli się zwracać licznie z podaniami przedstawiciele świata przemysłowego i handlowego, proponując komitetowi zajęcie się utworzeniem specyalnej komisyi traktatowej, na wzór utworzonej w Niemczech instytucyi: „Centralstelle fur Vorbereitung von Handelsvertraegen,“ a której zadaniem jest zbieranie, wspólnie z władzami rządowemi, danych o tem, jakie mianowicie zmiany byłyby pożądane do wprowadzenia w istniejącym traktacie. Komitet giełdowy zwrócił się w tej sprawie do swego przedstawiciela w Petersburgu i w odpowiedzi otrzymał wiadomość, iż departament celny przystąpił już do zgromadzenia odpowiednich materyałów, i że istnieje projekt utworzenia komisyi specyalnej dla sformułowania życzeń stron zainteresowanych w tej sprawie. Na skutek tego komitet giełdowy warszawski zwrócił się obecnie do ministeryum skarbu z zapytaniem, czy może już przystąpić do zawiązania komisyi, której zadaniem byłoby zbieranie i wypracowanie odpowiednich materyałów, dotyczących kraju tutejszego.

— Wszelkie dotychczasowe ulgi w opłacie akcyzy od cukru zostały zniesione. Nadal może on być wypuszczony z cukrowni tylko po opłaceniu akcyzy. Nadto, chociażby cukier nie był wypuszczany z fabryki, to przypadająca opłata akcyzowa winna być wniesioną w trzech równych ratach: do d. 14 czerwca, 14 września i 14 grudnia każdego roku.

Zmarli. Gustaw Paweł Cluseret, deputowany francuski, brał udział w ruchu ludowym 1848 r., walczył pod Garibaldim we Włoszech; w Ameryce zdobył szlify generalskie. Wrócił do Francyi w r. 1870, wziął udział w ruchu ludowym, założył pismo radykalne. Na skutek amnestyi wrócił do Francyi 1881 r., został dziennikarzem, wydał Wspomnienia, w których wyśmiał dawnych towarzyszów. Ostatnio należał do „ligi patryotycznej.“ Zm. 22 sierpnia w Hyères, liczył lat 77.

— Anderson, John, anatom i podróżnik amerykański, zm. w 66 r. życia.

— Petit de Julleville, profesor literatury francuskiej w Sorbonie paryskiej, autor znanych dzieł o historyi dramatu we Francyi, oraz redaktor wielkiej historyi literatury francuskiej (Histoire de la Langue et de la Litterature française de l'Origine a 1900, 8 tomów, ostatni obejmuje wiek XIX).

— Paweł Mesarosz, publicysta rosyjski, korespondent z Finlandyi, wrogo dla niej usposobiony; przywódca kampanii dziennikarskiej przeciwko

„odrębności“ politycznej W. Ks. Finlandzkiego (szereg broszur ulotnych: „Finlandya — państwo, albo kresy rosyjskie?“ i „Czy istnieje konstytucya w Finlandyi?“); rozgoryczony na społeczeństwo finlandzkie z powodu bojkotu, zarządzonego przez właścicieli domów w Helsyngforsie, gdzie nie mógł znaleźć mieszkania; zm. w Petersburgu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Piotrowi M. w Bab. Obie przez Pana wymienione książki istotnie zasługują na uznanie. Po za tem znajdzie Pan bardzo dokładne i obfite informacye w *Poradniku dla Samouków*, (Warszawa, w księgarni Gebethnera i Wolffa). Część I, Nauki Przyrodnicze (chwilowo wyczerpana, wyjdzie w drugiem wydaniu za kilka miesięcy), część II i III: Nauki historyczne, społeczne i filozoficzne. (Cena po kop. 80 za każdą część, z przesyłką rb. 1 kop. 15)

Panu Stan. St. w S—uch. Autor artykułu, który wywołał niezadowolenie Pana, nie miał najmniejszego zamiaru wystawiania na drwiny „nowoczesnych bohaterów.“ Przeciwnie — cały artykuł trzymany jest w tonie głębokiego o ich zasługach przekonania. Dlaczego tu Pan dojrzał ironię — nie rozumiemy. Wszystkie przez Pana podkreślone tytuły, są pomyślane zupełnie poważnie. Że zaś i Pan boleje nad nieudanemi próbami naszego życia zbiorowego, tedy uważamy nieporozumienie za usunięte. Wszak tak?

St. Prawdopodobnie konkurs ten wraz z pismem upadł. Wiersze Pańskie nie posiadają ani myślowej, ani artystycznej wartości. Niepodobna mówić do miłości.

„I pieniem cherubów upajasz nam *słuchy*.“

SPROSTOWANIE. W nr. 37, w art. „Now dziejów lit. pol.,“ str. 446, szpalta 3, w 16: zamiast „spuszczo“ powinno być *spuszczono;* na str. 447, szp. 1, w. od dołu 5: zamiast „zagłuszone“ czytaj: *zgłuszone.*

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Сентября 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.